MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIII. Nr. 11. WARSZAWA, 26 LUTEGO 1933 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRAGEDJA GÓRNEGO ŚLĄSKA

NAJDOSKONALSZYM wynalazkiem naukowych organizatorów pracy, jest zdaje się, produkcja „na biegnącym pasie". Po długich halach fabrycznych przesuwa się wolno, ale zawsze z niezmienną szybkością pas, na którym umieszcza się jakiś produkt niedokończony. Koło pasa stoją robotnicy. Każdy z nich musi wykonać jakąś drobną czynność: przykręcić śrubkę, coś doszlifować, coś sprawdzić. Przedmioty wędrują na taśmie w ściśle odmierzonych odstępach. Robotnikom pracującym przy taśmie nie wolno spóźnić się. Każde opóźnienie jednego robotnika pociąga za sobą wstrzymanie pracy kilkudziesięciu innych.

Nie można także dowoli regulować pracy na „biegnącym pasie". Wszystko jest wyliczone dokładnie, tak by poszczególne urządzenia wzajemnie sobie odpowiadały, a ruch całej maszynerji — opłacał się. Kiedy nie można sprzedać tyle, ile fabryka może wytworzyć, cudowny mechanizm staje się bezużyteczny. Pracuje drożej od fabryk, urządzonych w sposób bardziej „prymitywny", ale nie uzależnionych całkowicie od stanu zatrudnienia. Turbina parowa dostarcza siły, dajmy na to, 5000 koni. Przy niepełnem zatrudnieniu potrzeba tylko 2500 koni, koszt siły pozostanie jednak ten sam, bo turbina nie może pracować „przez pół". „Biegnący pas" zużywa zresztą tyle samo energji, co przy pełnem zatrudnieniu. Nie można zredukować połowy robotników, skoro każdy ma ściśle określoną funkcję. Cała administracja fabryki też jest przystosowana do tempa pracy, przy którem wyzyskuje się całą zdolność wytwórczą. *Last not least*, zadłużenie fabryki wynosi tyle, że można zapłacić odsetki tylko przy pracy całą siłą pary.

Na Górnym Śląsku, jest wiele biegnących pasów: w każdej kopalni węgla jest sortownia. Węgiel, przesuwający się na pasie, oczyszczany jest z kamieni przez robotników. Gdy skrzynia („skip"), naładowana węglem, wyciągniętym z pod ziemi, opróżnia się, robotnicy, stojący koło „biegnącego pasa", mają robotę. Gdyby między jednem a drugiem opróżnieniem skrzyni była zbyt wielka przerwa, staliby bezczynnie, a energja, zużywana na utrzymanie w ruchu pasa, byłaby zmarnowana.

Podobnych przykładów z zakresu górnictwa, hutnictwa i t, p. możnaby zacytować więcej. Całe życie gospodarcze Górnego Śląska przystosowane jest do wielkich rozmiarów produkcji. Nietylko pod względem czysto technicznym. Taki naprzykład Syndykat Hut Żelaznych wybudował sobie reprezentacyjny gmach za kilka miljonów złotych, a obok Urząd Wojewódzki postawił swój gmach za kilkanaście miljonów złotych. Wszystko to obciąża produkcję węgla, żelaza, cynku, która ciągle spada.

W 1928 roku sprzedano na rynku wewnętrznym 23.560 tysięcy ton węgla, a wywieziono 9.972 tysiące ton. W całym zbycie sprzedaż wewnętrzna stanowiła zatem 70 procent, eksport 30 procent.

W ubiegłym roku sprzedano na rynku wewnętrznym 18.300 tysięcy ton węgla, a wywieziono 10.107 ton. W całym zbycie sprzedaż wewnętrzna stanowiła zatem 64 procent t. j. mniej o 6 procent, niż w roku 1928, a wywóź 36 procent.

W roku 1928 sprzedano na rynku wewnętrzym 497 tysięcy ton żelaza, a wywieziono 151.8 tysięcy ton. W całym zbycie sprzedaż wewnętrzna stanowiła 76.6 procent, eksport 23.4 procent. W ubiegłym roku sprzedano na rynku wewnętrznym 160 tysięcy ton żelaza, a wywieziono 123.2 tysiące ton. W całym zbycie sprzedaż wewnętrzna stanowiła 56.2 procent, t. j. mniej o 20.4 procent, niż w roku 1928, a wywóz 43.8 procent.

Nie trzeba chyba przypominać, że stosunek cen wewnętrznych węgla do cen, uzyskiwanych na tak zwanych wolnych rynkach zbytu, wynosi 4 do 1 (wyraźnie: cztery do jednego), a stosunek cen wewnętrznych żelaza do cen eksportowych 3 do 1.

Wreszcie: w porównaniu do roku 1928 wydobycie węgla zmniejszyło się o około czterdzieści

procent, produkcja żelaza o blisko siedemdziesiąt procent.

A zatem: przy spadajacej produkcji bardzo trudno pokryć koszta własne, a produkcja spada. Wywóz jest nieopłacalny, zaś jego udział w ogólnym zbycie stale wzrasta, natomiast zbyt wewętrzny jest bardzo opłacalny, ale jego udział w ogólnym zbycie stale zmniejsza się. Oto jest węzeł gordyjski, którego nikt nie próbuje rozciąć. Jakież są prespektywy na przyszłość?

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ceny, uzyskiwane na rynkach obcych, jeżeli chodzi naprzykład o węgiel, będą nadal spadać. Wobec tego, według utartych metod ciężkiego przemysłu, a za wysoką aprobatą różnych pechowych ekonomistów urzędowych, trzeba będzie wymyślić jakieś nowe sposoby popierania wywozu kosztem wewnętrznego rynku. Trzeba przecież utrzymać w ruchu „biegnące pasy“ kopalń śląskich. A może obejdzie się bez dodatkowych obciążeń, bo wzrośnie wewnętrzna sprzedaż węgla? Jest to perspektywa mało prawdopodobna. Przy ogólnym zniżkowym ruchu cen, cena sztywna, niespadająca, węgla zmusi do szukania środków zastępczych. Już dziś, zdaniem fachowców, wobec olbrzymiego spadku cen drzewa, rozpoczął się nawrót do używania tego materjału opałowego, i to, rzecz znamienna, nietylko dla celów opałowych, ale także dla przemysłu. Zanosi się na to, że proces ten dalej będzie szedł swoją drogą.

Są jeszcze inne powody, dla których przewidywać należy stopniowy spadek zbytu węgla w kraju. Duża część sprzedaży tego elementarnego surowca wchłaniana jest przez przemysł przetwórczy. Ten ostatni z trudem współzawodniczy z przemysłem zagranicznym. Nic dziwnego przecież, skoro ten ostatni ma węgiel kilkakrotnie tańszy... Drożyzna węgla w Polsce, przy równoczesnem jego potanieniu w innych krajach, wpływać będzie w sposób decydujący na utrzymywanie się u nas cen całego szeregu innych towarów na wyższym, niż zagranicą, poziomie. Oczywiście, wskutek tego będzie zmniejszać się nasz eksport, a wzrośnie import. W dalszym ciągu zatem cierpieć będziemy na anemję pieniężno-walutową, co w połączeniu z zamieraniem całego życia gospodarczego wpłynie na silne ograniczenie zbytu węgla.

Min. Zarzycki oświadczył ostatnio w Sejmie, że rząd myśli o zagadnieniu węglowem. Była to dla mnie prawdziwa rewelacja, muszę przyznać, radosna. Widać jednak, że w pracach nad rozwiązaniem problemu węglowego napotkano na wielkie trudności... Tak zwane czynniki miarodajne znajdują się pod suggestją całego szeregu argumentów, wysuwanych w obronie dotychczasowej polityki węglowej, z których najważniejszym jest argument o konieczności utrzymania w ruchu „biegnących taśm”. Widzieliśmy, że argument ten nie ma istotnego znaczenia, gdyż mimo olbrzymich ofiar „biegnące pasy“ stają... Argument bilansu handlowego nie ma najmniejszego sensu, gdyż o ile na krótką metę deficytowy eksport poprawia bilans handlowy, o tyle na długą metę niewątpliwie go psuje i to w znacznie silniejszem stopniu. Równie pozbawione podstaw jest twierdzenie, że deficytowy wywóz węgla zwiększa stan zatrudnienia. Wszak sztucznie wysoka cena węgla podważa rentowność wszystkich innych, poza przemysłem węglowym, gałęzi produkcji, co przyczynia się do zwiększenia bezrobocia. Sztucznie wysoka cena węgla jest ściśle związana z deficytowym eksportem.

Doprawdy, wstydzić się trzeba, że ludzie, głoszący pogląd, jakoby deficytowy wywóz węgla był konieczny ze względu na bilans handlowy i sprawę bezrobocia, uważani są, pożal się Boże, za ekonomistów. Język polski zna dużo jędrniejsze słowa na określenie takich mędrców.

Dotychczas słyszałem tylko jeden poważniejszy argument za koniecznością utrzymania deficytowego wywozu węgla: mówiono, że ponosimy ofiarę przejściowo, dlatego by zmusić Anglję do wejścia z nami w porozumienie, któreby wprowadziło podział rynków zbytu i przez to pozwoliło w przyszłości na uzyskiwanie za węgiel cen bardzo korzystnych. Zaangażowaliśmy się w długotrwałą walkę. Jej koszt przerzucony zostaje na cały kraj, a ewentualne zyski przypadną w udziale przemysłowi węglowemu. Chyba tylko temu zawdzięczać należy długotrwałość walki, w której, jak sądzę, zwycięzcą będzie ten, kto się wycofa prędzej.

Trzeba bowiem pamiętać o tem, że można wycofać się przejściowo z rynków skandynawskich, nie rezygnując definitywnie z eksportu węgla na te rynki. Sam fakt, że każdej chwili na te rynki możemy wrócić, wystarcza, by zmusić Anglję wcześniej czy później do zawarcia porozumienia. Natomiast kurczenie wewnętrznego zbytu węgla, będące wynikiem jego niczem nieuzasadnionej drożyzny, na długą metę podetnie wszelkie możliwości podtrzymania wywozu do krajów, opanowywanych przez konkurencję. Jeżeli na rynku wewnętrznym sprzedamy dużo węgla, to bez trudności potrafimy zaatakować pozycje, zdobyte przejściowo przez Anglję.

Nierozwiązalne, według opinji p. ministra Zarzyckiego, zagadnienie cen węgla przedstawia się nieco... łatwiej, jeżeli się będzie pamiętać o tem, że wprawdzie kopalnie śląskie są deficytowe, ale koncerny handlowe dają dochód wcale niezły, podobnie jak np. przedsiębiorstwa przewozowe, przeładunkowe w portach i t. p. Jeżeli czasem ci sami ludzie mają wpływ na kopalnie, koncerny handlowe, przedsiębiorstwa żeglugowe i przeładunkowe, to jest im obojętne, co daje dochód, a co przynosi straty, byle w ostatecznym rezultacie dochód był wyższy od deficytu. Straty kopalń węgla są nawet potrzebne do wykazania, że... nie można myśleć o zniżce cen.

Zająłem się sprawą cen węgla dlatego, że, jak to słusznie podkreślił prof. Rybarski, bez ich obniżenia cała akcja walki ze sztywnemi cenami wisi w powietrzu. Obok znaczenia gospodarczego tej sprawy dla całej Polski jest ona szczególnie ważna dla Górnego Śląska. Dzielnica ta, zamiast stać się głównem źródłem przyrostu bogactwa w Polsce, stała się ośrodkiem wyzysku całego organizmu gospodarczego Rzeczypospolitej, hamującym jej rozwój. Tam mieszczą się potężne syndykaty, kierowane z Berlina, w myśl interesów niemczyzny.

Wszak interes niemiecki wymaga, by Śląsk jaknajmniej zespolił się z resztą ziem polskich oraz by rozwój przemysłu przetwórczego był uniemożliwiony przez drożyznę surowców — węgla i żelaza. Ten oczywisty fakt nie dotarł jeszcze do świadomości czynników miarodajnych. Pewne objawy wskazują na to, że obecnie zaczyna docierać. Czas na to ostatni. Dziś jeszcze można powoli wycofać się ze ślepego zaułka, w który wepchnięto naszą politykę gospodarczą za staraniem Berlina.

WOJCIECH ZALESKI

JESZCZE O ROKOWANIACH RYSKICH

PAN PROFESOR STANISŁAW GRABSKI poświęcił obszerny artykuł[1]) w odpowiedzi na niedawny artykuł mój[2]), dotyczący rokowań ryskich i zawierający apel do prof. Grabskiego, by zechciał bliżej oświetlić niektóre momenty tych rokowań.

O ile sobie Czytelnicy przypominają, apel ten sprowadzał się w zasadzie do następujących dwu pytań:

1) Czy prawdą jest to, co pisał w swej książce p. Dąbski, że przyczyną nieuczynienia przez Delegację polską w Rydze nawet próby wywalczenia w rokowaniach tego, by zatrzymany został dla Polski Kamieniec Podolski (będący wówczas faktycznie w ręku wojsk polskich), oraz przyczyną oddania Kamieńca bez dyskusji Sowietom, był wzgląd na układ z Petlurą, a nie zamiar potraktowania Kamieńca jako ekwiwalentu za Dzisnę i Wilejkę.

2) Czy prawdą jest to, co pisze p. Dąbski, że można było uzyskać dla Polski ziemie Białoruskie, lecz że „próby postawienia tej sprawy w Rydze natrafiły na zdecydowany opór ze strony polskiej“, oraz że wewnątrz delegacji polskiej „wyłoniła się kwestja, czy Mińsk włączyć do Polski, czy nie. Zdania były podzielone ze względu na różne stanowiska w kwestji białoruskiej. W głosowaniu większość delegatów oświadczyła się za pozostawieniem Mińska poza granicami Polski“.

Na żadne z tych pytań wyraźna odpowiedź, niestety, nie padła. Tylko pośrednio można się tej odpowiedzi domyślać ze słów: „Ale wszystkie podane w jego (Dąbskiego) książce fakty są prawdziwe i niczego w niej rozmyślnie nie zataja“. To samo znaczenie mają również słowa: „Milczenie bowiem moje mogłoby być wytłumaczone kiedyś, jako ciche przytaknięcie twierdzeniom p. Giertycha, krzywdzącym delegację ryską i nieżyjącego jej prezesa“, — przez co obalone zostało przypuszczenie moje, że relacje ś. p. Dąbskiego mogą być tendencyjnie nieścisłe. W tym samym wreszcie kierunku zmierzają ironiczne zwroty o „bólu“ z powodu utraconych ziem na wschodzie, oraz o korzyści z podniesienia liczby mniejszości narodowych w Polsce powyżej 40%, z których to zwrotów wynika, że straty Mińska i Kamieńca prof. Grabski za istotną stratę nie uważa.

Pozostała treść odpowiedzi prof. Grabskiego wiąże się jedynie luźno z właściwem *meritum* mojego artykułu. Jest w niej tem nie mniej jednak kilka momentów, które skłaniają mnie do ponownego zabrania głosu. I tak:

1) Prof. Grabski bierze w obszernym ustępie swego artykułu w obronę zwolenników programu federacyjnego, oraz protestuje przeciw nazywaniu ich krzywdzącem ich rzekomo mianem Obozu Małej Polski. — Nie zamierzam bynajmniej negować podkreślanej przez prof. Grabskiego okoliczności, że w akcji „federalistów“ niemałą rolę odgrywał pierwiastek ideowy, — miałem nawet niedawno sposobność dać temu wyraz w druku[3]). Że jednak mimo to program ten prowadził do pomniejszenia Polski — to przecież jest zupełnie jasne. Niech jako argument na rzecz używania nazwy Obozu Małej Polski posłużą własne słowa prof. Grabskiego: „związane tylko federacyjnemi węzłami z Polską ziemie wcześniej czy później od niej by się oderwały, a wtedy pozostałaby Polska nazbyt mała“.

2) Prof. Grabski pisze, że „trzeba mierzyć wszystkich jedną miarą“ — i widzi tę nierówność miary w tem, że poruszyłem sprawę ukształtowania granic wschodnich Polski — a nie miałem nic do powiedzenia o sprawie ukształtowania granic zachodnich. — Ja tej nierówności miary nie dostrzegam. Artykuł mój sprowadzał się do prośby o wyjaśnienie momentów niejasnych. Tych momentów niejasnych w zagadnieniu rokowań wersalskich nie widzę. Przebieg rokowań wersalskich wyjaśniony jest drobiazgowo w całym szeregu źródłowych publikacyj. — A tymczasem rokowania ryskie otoczone są dotąd mgłą wątpliwości i niedomówień. Przecież nawet tak ważny fakt, jakim jest nie wysunięcie przez stronę polską w Rydze żądania linji Komitetu Narodowego, lecz linji, przesuniętej znacznie dalej na zachód, oraz zrzeczenie się zgóry i bez wszelkiej dyskusji Mińska i Kamieńca, stał się wiadomy polskiej opinji publicznej — przekonanej doniedawna, że linja ryska jest wynikiem kompromisu — dopiero z książki ś. p. Dąbskiego, ogłoszonej w r. 1931, a znalazł potwierdzenie ze strony prof. Grabskiego dopiero w jego artykule w „ABC“ z listopada roku ubiegłego! — Zachodzi poza tem jedna jeszcze różnica między Wersalem a Rygą: w Wersalu walczono o całość polskich postulatów narodowych na zachodzie — i jeżeli ich nie osiągnięto w całości, to było to jedynie tylko skutkiem niepokonanych przeszkód zewnętrznych. Osiągnięta linja graniczna była więc owocem kompromisu i wypadkową sprzecznych dążeń. — W Rydze natomiast dążenia narodowe polskie nie starły się na całej linji z postulatami terytorjalnemi Sowietów: niektórych z tych dążeń strona polska wyrzekła się, nie czyniąc wogóle próby walczenia o nie. Gdyby osiągnięta linja graniczna na wschodzie była owocem kompromisu i targów, opinja polska nie miałaby tu nic do powiedzenia i z zaufaniem przyjęłaby do wiadomości wyniki pracy swojej delegacji, wierząc, że nic więcej osiągnąć nie było można. Ale skoro postulaty terytorjalne polskie zostały przez Sowiety przyjęte *en bloc* i to nawet z nawiązką (bo przyłączone później zostały do Polski spore okręgi koło Łunińca i Radoszkowicz, których poprzednio strona polska wogóle nie żądała), — to trudno się dziwić, że opinja ta skłonna jest do zapytywania: dlaczego nie próbowano zażądać więcej? Dlaczego nie zażądano linji Komitetu Narodowego, — Mińska i Kamieńca?

3) Pan prof. Grabski pisze: „Wolno każdemu mieć, jakie mu się podoba, przypuszczenia. Ale nie wolno uczciwemu człowiekowi na przypuszczeniach opierać krzywdzących innych ludzi oskarżeń“. Przyznam się, że przeczytałem te słowa ze zdziwieniem. Przedewszystkiem, nie rzucałem oskarżeń, ani przypuszczeń, ale stawiałem zapytania. Nie uczyniłem nic innego. niż to, co mi prof. Grabski zalecił w zdaniu: „szkoda, że przed napisaniem swego ar-

---

[1]) „Jeszcze o rokowaniach ryskich“, „Myśl Narodowa“, Nr. 8, r. b.

[2]) „Dyskusja o traktacie ryskim“, „Myśl Narodowa“, Nr. 3, r. b.

[3]) W artykule „O koniecznościach dziejowych“ w Nr. 41 „Myśli Narodowej“ z r. ub.

tykułu nie poinformował się p. Giertych u kogokolwiek z byłych członków delegacji". Nawiasowo mówiąc, pozwolę sobie Panu Profesorowi przypomnieć, że przed kilku laty miałem sposobność również i w ustnej rozmowie Pana Profesora o sprawę Mińska i Kamieńca zapytywać, — nie dane mi jednak było dowiedzieć się wówczas nawet tego szczegółu, że w Rydze strona polska ani Mińska ani Kamieńca od Sowietów nie żądała. — Należę do pokolenia, które w stosunku do generacji prof. Grabskiego jest pokoleniem następnem. Jest to od wieków ustalona kolej rzeczy, że pokolenia następne zapytują się pokoleń poprzednich o ich czyny historyczne. Sądzę, że sprawa Mińska i Kamieńca nie może tu stanowić wyjątku. Zresztą, podkreślam to raz jeszcze, nie chodzi tu o zarzuty, lecz o wyjaśnienie faktów. Można uczciwie być wyznawcą poglądu, że przyłączenie Mińska do Polski jest niepotrzebne, czy nawet szkodliwe, ale sądzę, że obowiązuje tu jasne postawienie sprawy. — Istniała pewna koncepcja ukształtowania granic wschodnich Rzplitej, zwąca się linją Komitetu Narodowego. Można tę koncepcję uważać za trafną, lub nietrafną, można jej bronić, lub nie bronić, — ale sądzę, że w imię jasności obrazu dziejowego byłoby pożądane ostateczne ustalenie, kto był bojownikiem o urzeczywistnienie tej koncepcji, a kto walczył o koncepcję własną, od tamtej odmienną.

4) Wreszcie ostatnia sprawa. Istnieje jeden punkt w niniejszej dyskusji, w którym się uznaję za pokonanego — i lojalnie pospieszam to stwierdzić. Napisałem w moim artykule, że delegacja ryska nie otrzymała nowych instrukcyj i dysponowała tylko instrukcją, opracowaną w okresie rokowań mińskich. Na twierdzeniu tem oparłem pewne zarzuty, zwrócone pod adresem min. Sapiehy. — Okazuje się, — że zarzuty te oparte były na nieporozumieniu. Wypowiadając powyższe twierdzenie, opierałem się na słowach prof. Grabskiego z Jego artykułu w „ABC": „Delegacja pokojowa, wyjeżdżając do Mińska, otrzymała od Rady Obrony Państwa instrukcję, która jako *maximum* naszych żądań terytorjalnych wskazywała granicę na linji okopów niemieckich z 1916 r. Instrukcja ta nie została zmieniona po powrocie delegacji z Mińska. Obowiązywała ona również w Rydze". Istotnie, — skonfrontowałem ten ustęp z książką Dąbskiego niedostatecznie dokładnie i dlatego źle go zrozumiałem. Z zestawienia tego ustępu z tem, co pisze Dąbski na str. 76, można się domyśleć (a nabiera to tembardziej wyrazistości w świetle ostatniego artykułu prof. Grabskiego), że nowa instrukcja została udzielona, — tylko że jej treść, jeśli chodzi o postulaty terytorjalne, nie uległa zmianie. Tem samem odpadają wnioski, które wyciągnąłem z rzekomego braku instrukcji odnośnie do ministra Sapiehy.

Tem nie mniej, fakt pozostaje faktem, że instrukcja ta nie była widocznie zbyt wiążąca, skoro można było, nie licząc się z nią, wysunąć w Rydze żądania terytorjalne, przekraczające ją miejscami o 100 kilometrów. Instrukcja w podobnym wypadku albo obowiązuje ściśle, albo nie obowiązuje wcale. Z chwilą, gdy doszło do opisanych przez Dąbskiego na str. 110 wewnętrznych obrad w delegacji polskiej[4]) — z chwilą tą instrukcja uległa przekreśleniu. Skoro instrukcja ta nie stanowiła formalnej przeszkody do uzyskania rozległej połaci nieobjętych nią ziem, przyznanych Polsce w Rydze, — to nie mogła również stanowić formalnej przeszkody dla uczynienia próby wysunięcia postulatów, pokrywających się z linją Komitetu Narodowego.

Fakt przejścia nad tą instrukcja do porządku dziennego jest zresztą charakterystycznym przykładem niedoceniania wówczas w Polsce ustępliwości sowieckiej. Byłoby rzeczą interesującą stwierdzić, dziełem czyjej inicjatywy oraz rezultatem jakiego rozumowania było opracowanie wówczas instrukcji, tak dalece niezgodnej z warunkami, że trzeba ją było przekreślić w sposób tak stanowczy.

Przechodzę do konkluzji. Ziemia Mińska, zamieszkana wprawdzie przez lud białoruski, lecz pozbawiona jakichkolwiek godnych uwagi ośrodków separatyzmu białoruskiego, oraz w zupełności przygotowana do ulegnięcia całkowitej polonizacji, — była pod względem cywilizacyjnym i pod względem politycznym krajem nawskroś polskim. Przy wyborach do I Dumy, przeprowadzonych według niezmienionej jeszcze, porewolucyjnej, liberalnej, opartej niemal całkowicie na zasadzie powszechności ustawie wyborczej, — gubernja Mińska dała mandaty: 7 Polakom i tylko 1 Białorusinowi i 1 żydowi. 34,0% całej prywatnej własności rolnej w tej gubernji (włościańskiej i ziemiańskiej) znajdowało się w ręku polskiem. Zresztą rdzennej ludności polsko-katolickiej było w tej dzielnicy bardzo wiele: w powiecie Mińskim blisko 30%, a w mieście Mińsku 24% wobec 30% Białorusinów (podatnych do asymilacji) i 46% żydów. — Przyłączenie Mińszczyzny do Polski dałoby nam dogodną granicę strategiczną na północnym wschodzie.

Okrąg Kamieńca Podolskiego z Płoskirowem stanowi przedłużenie Małopolski Wschodniej. Polskość odgrywała tam tę samą rolę, co w Tarnopolszczyźnie. Jedyna różnica jest ta, że nie było tam tak rozwiniętego nacjonalizmu ruskiego. — Sam Kamieniec jest jednem z najdroższych polskiemu sercu, polskich historycznych miast.

Zarówno Mińszczyzna, jak okrąg Kamieńca i Płoskirowa objęte były linją Komitetu Narodowego w Paryżu — i wchodziły w skład obszaru narodowego polskiego w pojęciu narodowem.

---

[4]) Dąbski pisze tam co następuje: „Przed następną poufną konferencją przeprowadzono w łonie Delegacji Polskiej gruntowną dyskusję nad ostatecznem sprecyzowaniem wschodniej granicy Polski. Po długich debatach zgodzono się wreszcie na linję graniczną, podaną przez przewodniczącego Polskiej Delegacji w drugiej poufnej rozmowie przewodniczącemu Delegacji Rosyjskiej, t. j. na linję graniczną Zbrucz, Równe, Sarny, na zachód od Mińska, Wilejka, Dzisna do Dźwiny. Naturalnie, linja ta musiałaby być dostatecznie od wschodu chroniona.

Nie należy ukrywać, że w łonie Delegacji Polskiej były daleko idące różnice zdań. Kilku członków Delegacji oświadczyło się za rozwiązaniem federacyjnem, ale opinja ta nie była podzielana przez większość członków Delegacji. Co do granicy na odcinku południowym, cała Delegacja była za tem, aby nie przekraczać linji Zbrucza ze względu na układ z Petlurą i utrzymać tę samą granicę, jaka była ustalona w umowie z Ukraińską Republiką Ludową. Co do granicy na odcinku północnym wyłoniła się kwestja, czy Mińsk włączyć do Polski, czy nie. Zdania były podzielone ze względu na różne stanowiska w kwestji białoruskiej. W głosowaniu większość delegatów oświadczyła się za pozostawieniem Mińska poza granicami Polski. W ten sposób wschodnia granica Polski została ściśle określona i podana do wiadomości Przewodniczącego Rosyjsko-Ukraińskiej Delegacji na poufnej konferencji, która się odbyła dnia 2 października 1920 roku o godz. 6-ej wieczorem".

Nie zostały one do Polski przyłączone. Nie tyle dlatego, by Sowiety odstąpienia ich Polsce odmówiły, ale dlatego, że ich ze strony polskiej nie zażądano.

Czy byłyby odmówiły — gdyby zażądano? Jest to możliwe — jest to nawet bardzo prawdopodobne. Ale pewności pod tym względem niema.

Dąbski napisał na str. 78: „Ustępliwszymi byliby bolszewicy rosyjscy w sprawie oddania pod wpływy polskie Białej Rusi, ale próby postawienia tej sprawy w Rydze natrafiły na zdecydowany opór ze strony polskiej".

JĘDRZEJ GIERTYCH

OD SOCJALIZMU DO NACJONALIZMU

(ZE STUDJÓW NAD STANISŁAWEM BRZOZOWSKIM)

ZAGADNIENIE OSOBOWOŚCI

ANALIZUJĄC złudzenia świadomości, uwydatniał Brzozowski stale to wielkie brzemię odpowiedzialności za przyszłość, które cięży na jednostkach i bronił wciąż wytrwale dawnej zasady, iż „jedyną trwałą rękojmią psychiczną postępu są: miłość natężonego życia, wysokiego napięcia świadomości, życia pełnego wysiłku"[1]). Ukazywał wszakże zarazem różnorodne niebezpieczeństwa, które grożą — czy to ze strony romantyzmu, czy to ze strony intelektualizmu — odpowiedzialnemu i twórczemu życiu człowieka. Dzięki temu zyskiwały doniosłość pytania: jak obronić osobowość ludzką? gdzie znaleźć podstawy jej zdrowego istnienia? jak ją wychowywać?

Pytania te nie były obce dawniejszej twórczości Brzozowskiego. Zaczynał od nich swą pracę myślową; od wychowania człowieka uzależniał realizację socjalizmu. Ale teraz wracał do nich, patrząc głębiej i sprawiedliwiej: analiza różnorodnych złudzeń świadomości ukazywała mu choroby osobowości. Widząc je jasno — poczynał też jaśniej poznawać, czem jest zdrowie. A zbliżając się, jak lekarz, poczynał traktować indywidualność ludzką bardziej sprawiedliwie, niż wówczas, gdy spoglądał na nią ze stanowiska reformatora społecznego. To też, o ile dawniej, w okresie socjalizmu, odnajdujemy w jego pismach bezwzględne, apodyktyczne wymagania — teraz spotykamy bliższe, intymniejsze niejako wejrzenia wgłąb, ukazujące możliwości wewnętrznego odrodzenia. Nie rezygnując oczywiście z przebudowy dusz — walczył o to zawsze — traktuje sprawę jak humanista, jak wychowawca.

Na czem polegała choroba romantyczna? Nie na pragnieniu zachowania własnej indywidualności — to było słuszne pragnienie; błąd i wina tkwiły w niedopełnieniu. Nie jesteśmy bowiem sami na świecie i dlatego świat naszych marzeń nie jest najwyższą instancją. Jesteśmy związani z życiem konkretnem, wpleceni w społeczno-dziejową rzeczywistość — jeśli więc chcemy pozostać sobie wierni, musimy umieć tę wierność zachować w realnej płaszczyźnie życia. „Duszy własnej nie chcecie zdradzić — twórzcie więc kształt życia, któryby ją miał w sobie, a był wobec sił — siłą, wobec naporu świata — zwycięzcą"[2]) — oto hasło, które uzasadnia Brzozowski w sposób następujący: „nasze subjektywne ja wtedy tylko pozostaje sobie wierne, gdy czuje się sprawcą świata, w jakim żyje, gdy po wydźwignięciu tego świata, dokonaniu tego dzieła — kocha w sobie to, co kochało uprzednio. Wtedy miłość staje się naprawdę twórczynią własnej rzeczywistości, irracjonalna tożsamość samowoli zostaje zachowana. Ku głębinom życia trzeba iść i z ich mrocznego czucia, z tego skłębienia wytężeń, w którem człowiek styka się bezpośrednio ze światem, uderza weń jako siła w siłę — wydobyć się z własną, wierną sobie, duszą: to właśnie znaczy tworzyć, zachowywać własne ja. Ten tylko ma prawo mówić o sobie ja, kto swój irracjonalny pęd ku sobie umie przeprowadzić przez mroczny świat siły, wykuć z niej zwycięski posąg swojej duszy, ostać się wobec nacierającego zewsząd chaosu"[3]).

Ten zaś, kto darzy świat pogardą, nie może utrwalić nigdzie własnych wartości i odczuwa jako obcość i przymus tę rzeczywistość, której mógłby być współtwórcą. Żyjąc zaś nią, z konieczności prowadzi fałszywe, bo podwójne istnienie.

Ale nie dość jest znać prawdziwe drogi indywidualizmu, trzeba móc wejść na nie. Jak może to być osiągnięte? Jak zżywa się osobowość ze środowiskiem i jak może się w niem utrwalać? Oto najważniejsze pytania.

Aby uzyskać prawdziwe odpowiedzi, uwolnić się trzeba od przesądów intelektualizmu. Zbyt często wydaje się nam bowiem, iż jaźń nasza — to zbiór poglądów, myśli, zamiarów; zbyt łatwo zapominamy o tem, iż nasze „świadome ja", nasze „psychiczne ja" jest wytworem dziejów i wytworem naszego „konkretnego, fizjologicznego, istotnego ja"[4]). Jesteśmy właściwie żywiołem współwytwarzającym naszą psychikę. Gdy zaś „poprzestajemy na pewnych formach psychiki, przyjmujemy właściwie te postacie żywiołu, które je wytworzyły. Przestajemy żyć: trupiejemy"[5]). „Indywidualność nasza — to nigdy jakaś treść duchowa, to zawsze pewna, nie znająca dobrze samej siebie i niezawodna, ale ginąca samej sobie z oczu tożsamość życia, procesu organizacyjnego. Gdy uważamy, że nasze ja jest nam tak lub inaczej dane, już odcięliśmy samych siebie od najgłębszych źródeł własnego życia"[6]). Utrwalamy wówczas nasz chwilowy poziom życia, czynimy zeń kryterjum teraźniejszości i przyszłości naszej, zabijamy w nas wszystko to, co mogłoby być kiedyś stworzone, co jest nieprzewidziane. Utrwalając zaś siebie w tej jednej postaci, narażamy się na coraz boleśniejsze rozdźwięki z życiem, które się zmienia poza nami i porywa nas z sobą.

Jest więc tu jakgdyby analogja między złudzeniami świadomości w życiu zbiorowem i życiu indywidualnem. I tu i tam jest ona wytworem, mimo, iż uważa się za istotne źródło wszelkiej wiedzy

[1]) „Legenda" — 229.
[2]) „Legenda" — 241.
[3]) l. c. 238.
[4]) l. c. 261.
[5]) l. c. 261.
[6]) Kilka uwag — „Głosy" 57.

i wszelkich wartości; i tu i tam zaufanie świadomości jest hipostazą pewnego momentu życia, zniszczeniem przyszłej twórczości, zubożeniem i osłabieniem. I tak, jak w życiu zbiorowem sięgać trzeba wgłąb, pod powierzchnię zracjonalizowanej, niezmiennej kultury — podobnie w życiu jednostkowem dotrzeć należy aż tam, gdzie znajdują się źródła, wytwarzające osobowość. Tylko wówczas bowiem możemy być, wobec samych siebie, sprawiedliwymi.

Zakwestjonowanie wartości elementów świadomych, uznanie ich za wytwór dziejów oraz naszego głębszego, witalnego ja ma doniosłe konsekwencje. Tracą znaczenie wszelkie rodzaje statycznego ujęcia nas samych przez nas lub przez innych ludzi; znika możliwość przeprowadzenia selekcji przeżyć, bowiem wymaga ona kryterjów, kryterja zaś, i to zarówno powszechnie ważne, społeczne jak i osobiste, indywidualne są znieruchomiałemi wytworami przeżytego już życia, są zawsze głosem przeszłości i przemocą, niszczącą gwałtem, nieprzewidzianą twórczość przyszłości. Porzucając to stanowisko, odzyskujemy zaufanie do nas samych, do naszej „nieprzewidzianości", zdobywamy wiarę w „czynne bogactwo życia", pragniemy się oddać jego pędowi[7]). Osobowość ludzka staje się wartością, nie ze względu na realizację pewnych ideałów — ale dlatego, że reprezentuje twórcze możliwości życia.

Nie jest to stanowisko nowe; przypominamy sobie, iż myśl Brzozowskiego rozpoczynała od takich właśnie założeń, że pragnąc usprawiedliwić swobodny rozwój osobowości konstruował on system metafizyczny, według którego istotą świata było tworzenie. Humanizm głosił tę zasadę, iż człowiek ma prawo i obowiązek żyć samoistnie, bowiem nie istnieją żadne pozaludzkie wzory. Ta humanistyczna doktryna została później zaćmiona przez wymagania socjalizmu, nakazującego — mimo zastrzeżeń — zasadniczą i dogmatyczną przebudowę dusz. Ale dawna wiara nie wygasła zupełnie. Echo jej bardzo wyraźnie rozbrzmiewa w djalogu o Fr. Nietzschem[8]); przypomina tam Brzozowski, iż dawniej musiał się człowiek „usprawiedliwiać przed myślami" i że teraz dopiero zbuntował się przeciwko „*anima rationalis*", przestając ufać, by była ona wyrazem czegoś „głębszego, prawdziwego, bardziej istotnego, niż bezpośrednia rzeczywistość ludzkiego życia"[9]). Odtąd też uważa, iż zabić coś w sobie lub kim innym jest największym grzechem, nie dlatego, że to coś istnieć powinno na podstawie jakiegoś pozaludzkiego, pozaświatowego wzoru, lecz poprostu dlatego, że tego nie będzie[10]). Tę oto zasadę cenił Nietzsche, budując nową moralność na „miłości człowieka dla wszystkiego, co w nim jest, na zrozumieniu, iż każda treść ludzkiego życia jest drogocenna, jest jedyną drogocennością, źródłem wszystkich innych"[11]).

Rozluźniające się więzy nakazów socjalistycznych oraz bergsonowskie przeciwstawienia pędu życia i jego wytworów wzmocniły teraz dawną, humanistyczną pozycję. Porzucając zracjonalizowaną powierzchnię naszej jaźni i zstępując wgłąb, zbliżamy się do źródła wiecznie żywego naszej twórczości. Zostajemy sam na sam z sobą — bez sztucznych zasłon, rzucanych przez świadomość. Nie oceniając, nie klasyfikując, nie przeprowadzając selekcji ogarniamy — nie umysłem — ale odczuciem tożsamości nasze wszystko: i to, co się potocznie nazywa dobrem i co się zwie grzechem, i to, co jest szczęściem i to, co sprowadza cierpienie, a co jest— wszystko — naszą twórczą, dążącą jaźnią. Dusza ma tu zrozumieć, że „znikąd nie spłynie jej ratunek, jeśli ona sama go nie stworzy: rozum, wola, obowiązek muszą być stworzone przez tę samą psychikę, która czuje w sobie grzech, ciemnotę, rozpacz. Z całym bólem swym, wyrzutem wewnętrznym pozostaje ona sama z sobą i w sobie zamknięta, z siebie musi wydobyć zbawienie. Gdy grzech, beznadzieja zniszczą, wytrawią miłość życia, nie pomoże już jej nic. Musi ona kochać siebie nawet na dnie, jeżeli nie ma zginąć, musi zachować pomimo wszystko naiwną, nie rozumiejącą miłość istnienia, przywiązanie do niego, zdolność radości"[12]). Ten punkt widzenia odradzającego się humanizmu nie jest jeszcze dość pogłębiony i rozwinięty, prowadzi już jednak do nowej — i jakże charakterystycznej w stosunku do dawnej — definicji swobody: „mieć odwagę do wszystkich swoich chwil, czuć ich głęboką irracjonalną jedyność — to jedynie znaczy: żyć swobodnie"[13]). Zdala od zawikłanych rozważań metafizycznych na temat indetermizmu, bez uciekania się do pojęć przyrodniczych, bez wmawiania, iż przyjęta i uznana konieczność staje się naszą swobodą i bez dogmatycznego łamania osobowości — jak czynił to Brzozowski dawniej — otwierają się tu drogi psychologicznie wierniejszego i głębszego widzenia rzeczy. Te nowe drogi łączą się z temi, które próbował budować na gruncie metafizycznego idealizmu humanizm; uczył on bowiem, iż swoboda polega na wyzwoleniu treści, t. zn. na tem, by człowiek nie krył w sobie przed sobą samym, z lękiem i obawą, różnorodnych przeżyć, by mógł je odsłonić i kształtować. „Swoboda jest zawsze swobodą nad czemś, być swobodnym od czegoś, znaczy zrzekać się i wyrzekać—najbardziej obłudna forma zależności"— czytamy w studjum o Miriamie[14]); — wtóruje tym słowom teraz wyznanie: „grzechem jest ta cząstka naszej istoty, której nie umieliśmy, nie śmieliśmy poznać"[15]). Ale łudziłby się ten, ktoby sądził, iż tak pojmowane życie osobowe jest przyzwoleniem na wygodny, nastrojowy subjektywizm. Przeciwnie. Właśnie wówczas dopiero, gdy przestajemy ufać świadomości - porzucamy fałszywe, legendarne wizje nas samych, i poczynamy pojmować, iż „nie o to idzie, co człowiek myśli o sobie, ani o to, co inni myślą o nim na podstawie jego zewnętrznych czynów; idzie o to, co przeżywa on sam w sobie—poza wszelką kontrolą w swej niedostępnej dla nikogo samotności". Łudzimy się, sądząc, iż „prawdziwe znaczenie naszego życia zawarte jest w tym etycznym, filozoficznym, estetycznym i t. p. sądzie, jaki wydajemy o samych sobie"[16]). Wszystko to są tylko formułki, tylko etykiety, tylko tytuły. Ale życie nasze nie jest niezmienną rzeczywistością; bieży, jak potok, wciąż naprzód— a sens jego i wartość tkwi właśnie w tym procesie. „Nigdy nie gotowy, zawsze niedojrzały, stający się, rwący się, poczynający człowiek jest swą bez-

[7]) „Legenda" — 363.
[8]) „Fryderyk Nietzsche" — Stanisławów 1907.
[9]) l. c. 41.
[10]) l. c. 51.
[11]) l. c. 52.
[12]) „Legenda"—451.
[13]) l. c. 293.
[14]) „Kultura i Życie" — 55.
[15]) „Legenda" — 363.
[16]) l. c. 350.

względną osłoną wobec bezmiaru i żyje tylko tem, że swoją względność śmiało i bezwzględnie przeciwstawia nacierającemu chaosowi“ [17]). Na pięknym przykładzie marynarzy, ogarniętych burzą morską, tłumaczy Brzozowski, iż właśnie ludzie tacy, jacy są, powoływani bywają na sąd i rozgrywkę. Rzeczywistość nie czeka, aż zbierzemy siły, aż osiągniemy pewien poziom — wzywa nas, takich, jak jesteśmy, w każdej chwili. „To właśnie codzienne, powszednie, zawsze uwarunkowane, ograniczone nasze życie jest rozrachunkiem raz na zawsze dokonywanym pomiędzy tem, co ukazuje się nam, jako czas — zakres naszej władzy—a czasem, jaki jest poza nami, poza człowiekiem. To nasze zawsze tak nieuroczyste w momencie przeżywania, jakgdyby niegotowe, niedojrzałe życie — oto jest nasza prawda wobec tego, co jest poza nami. Tem właśnie jesteśmy“ [18]).

Myśl tę rozwija i uzasadnia bergsonowska teorja czasu: „Czas jest rzeczywisty“ [19]) —znaczy to: przyszłość nie jest ustalona; przyszłość dopiero się zrodzi; przeszłość nie była realizacją wiecznego planu; była stworzona; mijanie czasu jest nieodwracalnym, twórczym procesem, ale właśnie dlatego żadna nasza chwila nie może być uznana za niebyłą. „Niepodobna uczynić nieprzeżytem, co przeżytem zostało. Niepodobna żyć, przeskakując chwilę: czas cały, jak jest, tętni naszą odpowiedzialnością. Żaden wzgardliwy sąd o tem, co stanowi naszą codzienną rzeczywistość, nie wykreśli jej ze spiżowej prawdy czasu, który nie wraca, w którym każda chwila jest raz tylko — tak już niezmienna i groźna—jak tercyna Dantego“ [20]).

Tak surowo i konkretnie patrząc na życie własne, wyzbywamy się wygodnych złudzeń intelektualizmu, który przekonywał nas często i pocieszał, że chwilowe i codzienne nasze przeżycia nie są tak ważne i rzeczywiste, jak odświętne, wybrane, monumentalne chwile. Rozumiemy, iż „znaczenie naszego życia jest w niem samem, takiem właśnie, jakiem jest—a nie zaś takiem, jakiem byśmy je mieć chcieli“ [21]). Rozumiemy też, iż—skoro każda chwila jest równie ważna — nie można czynić przedziału między tem, co się prywatnie, dla siebie tylko, przeżywa, a tem, co ma mieć ogólniejsze znaczenie. „Każda nasza chwila ryje się w życiu gatunku, tak, jakeśmy ją przeżyli, przeżyła ją ludzkość w nas, w naszem wnętrzu. Niema bowiem organu, prócz nas samych, i niema podziału pomiędzy tem, co przeżywamy prywatnie dla samych siebie, a tem, co przeżywamy dla ludzkości. To życie, które przez nas przepływa, przez nas tylko ukształtowane być może; tem już raz na zawsze będzie, czem je my uczynimy“ [22]). Odpowiedzialność tedy ciąży na nas nieuchronna i obecna w każdej chwili. Codzienny tok zdarzeń jest terenem naszej pracy i zasługi, w każdym dniu zdobywana wartość—sądem nad nami.

Jakże bliskie jest takie ujęcie życia twardej dyscyplinie towiańczyków! Z godziny na godzinę, o każdej porze dnia i nocy uderzyć mogą siły złe, zwyciężyć nas i przedrzeć się na świat. Czuwać trzeba nieustannie, każdą chwilę utrzymać na najwyższym poziomie. Tak uczył Towiański. Tego wymagał od swoich uczniów, którzy dręczyli się niewymownie — jak świadczy pamiętnik S. Goszczyńskiego — pragnąc osiągnąć ów stan ciągłego pogotowia. Cóż innego wskazuje Brzozowski? Oczywiście: nie mówi o Bogu — lecz o czasie, który upływa, nie grozi „kolumnami duchów ciemnych“, ale używa nieokreślonych słów takich, jak żywioł, noc poza nami. Wymaga jednak tej samej dyscypliny wewnętrznej, podobnie czyni z człowieka jedyną, jemu tylko zdaną placówkę, podobnie wymaga czuwania w każdej chwili. Rozumie on sam, iż w ten sposób traktując życie, ujmuje je właściwie, w najgłębszym sensie tego słowa, religijnie. Fałszywie kojarzymy religijne znaczenie ludzkiego życia z jakiemiś „osobliwemi, operowemi momentami“; pisze w „Legendzie“: „postacie Dickensowskich powieści nie są mniej rzeczywiste, niż ci żydzi, do których zwracali się autorowie ksiąg „proroków“ — nie dalsi są oni, ani bliżsi tworzącej piersi Bożej“ [23]).

Teraz mamy w ręku wszystkie nici:

Analiza niebezpieczeństw, któremi grożą osobowości romantyzm i intelektualizm, ujawniła pewne cechy wspólne: kto gardzi codziennością, zrywa bezpośredni związek z życiem konkretnem, ten traci wewnętrzną szczerość, burzy sam w sobie podstawy zdrowej świadomości, ulega złudzeniom, wytwarzanym przez wyobraźnię lub schematyzujący rozum. Osobowość rozwinąć się i umocnić może tylko w konkretnem, społeczno-dziejowem życiu; wówczas, stwarzając rzeczywistość, zachowujemy nas samych; wówczas nie niszczymy naszej przyszłości dowolnem a szkodliwem samoograniczaniem; żyjemy odpowiedzialnie i uczciwie.

Analiza indywidualizmu ukazała nam nietylko jego drogi i bezdroża; wskazuje też, jaki typ życia wytrzymać może postawione wyżej wymagania, jaka konstrukcja życia zbiorowego chroni najlepiej jednostkę od niebezpieczeństw romantycznych i racjonalistycznych. Rozumiemy bowiem, iż „pierwszym warunkiem prawdziwie płodnego i zdrowego życia“ jest takie „przekształcanie życia codziennego, konkretnego, byśmy czerpali z niego zadowolenie“. „Ta zaś nasza konkretna, dźwigająca naszą codzienność i odnawiająca się w niej i przez nią psychika wprowadza nas w kontakt z naszem otoczeniem rodzinnem, towarzyskiem, stanowem, dzielnicowem, z życiem narodu wogóle, zaczynamy żyć i czuć jako to, czem jesteśmy, jako współtwórcy i uczestnicy pewnych zbiorowych i życiowych procesów, dzieł, dźwiganych przed nami, które nas wychowały i przeżyją nas. Życie nasze staje się pełnem treści i znaczenia, odnajdujemy naokoło siebie mnóstwo spraw, za które jesteśmy odpowiedzialni, jutro i w najdalszej przyszłości widzimy sprawy drogie nam, a zależne od naszej woli, czujemy, że nieustannie coś ważnego decydujemy, żaden bowiem szczegół naszego codziennego życia nie będzie dla nas obojętny“ [24]).

Takie zrośnięcie się osobowości z życiem zbiorowem, takie ogarnięcie miłością całego konkretnego bytu możliwe jest tam tylko, gdzie on i my wyrastamy z jednej gleby, gdzie on i my jesteśmy—jednem. Teraz widzimy jasno: „psychika nasza jest wytworem narodowego życia, zapewnić jej władzę nad światem, a właściwie samą rzeczywistość możemy jedynie przez tę z b i o r o w o ś ć,

[17]) l. c. 351.
[18]) l. c. 346.
[19]) „Bergson i Sorel“—238.
[20]) „Legenda“ — 348.
[21]) l. c. 350.
[22]) l. c. 347.
[23]) l. c. 347.
[24]) „Idee“ — 501.

z której nasze życie zostało wysnute. Kto sądzi, że umie się obyć bez narodu, objawi tylko brak głębszej oryginalności. Wszystko, co głębokie w nas, istotne, twórcze, wiąże nas z grupą, w której wytkane zostało: życie narodowe jest jedynem medjum zachowania własnej indywidualności. Zrozumieć to, wejść duszą całą w tę potężną walkę i pracę, która o przyszłości naszej rozstrzyga, zrozumieć, że wrastając w to życie, wrastamy w samo twórcze dno duszy naszej: złączyć całą naszą wolę z tą codzienną pracą wznoszenia narodowego lądu, zrozumieć, że ta abstrakcyjna Europa, abstrakcyjne społeczeństwo, abstrakcyjna przyroda, które nam zrodzenie tej prawdy przesłaniają, są wytworem tylko, odciętych od życia, żyjących w fikcyjnych otoczeniach, dusz, zdobyć się na energję codziennego zespolenia się ze zbiorowym trudem, wytworzyć w sobie ogarniającą go świadomość, to jest jedyna droga do wydobycia duszy z dzisiejszej mielizny"[25]).

Wrośnięcie osobowości w kulturę narodową przejawia się również i w tem, iż czyny nasze wnikają w określone środowisko narodowe, a stamtąd dopiero zyskują rozgłos na świecie. „Jest to" — pisze Brzozowski — „straszliwe prawo dziejów i ja pierwszy grzeszyłem w pismach swych, zapoznając je: psychika, wypowiadająca się w myśli, działa w świecie nie przez własną wolę i nie w jej kierunku; działa przez świat dziejowo-społeczny, z którego wyrosła i w który wracają jej żywe następstwa. Wobec pozostałego świata działa ona przez bryłę i ciężar swojego narodu. Gdy poddajemy się tej psychice, podporządkujemy się nie jej ideowej treści, lecz życiu samego narodu, z którego psychika ta się wyłoniła"[26]). To prawo ukazuje Brzozowski, analizując literaturę rosyjską i przekonywając, iż „nawet zbuntowana przeciwko istniejącemu państwu myśl rosyjska — służyła w myśl niezwalczonej logiki dziejowej potędze tego państwa"[27]), wytwarzała bowiem w świecie zrozumienie i uznanie dla własnego kraju tak, iż powiedzieć można, że „pomimo wszystko Gorki toruje drogi Izwolskiemu"[28]). Podobnie Niemcy rosły dzięki swej humanitarnej, idealistycznej filozofji, gdyż świat, podbity jej urokiem, stawał się „przenikalniejszym dla ich dążeń"[29]).

Oto jest surowe prawo: „narody są jedynemi organami dziejowego działania psychiki i czysto ludzka, międzynarodowa płaszczyzna kulturalnej inteligencji jest złudzeniem"[30]). W ten sposób zamyka się koło rozważań: tylko z zespolenia z narodem wyrastają dzielne i twórcze osobowości; tylko w narodzie odnajdują one pole działania swego i znaczenia. Takie są nieoczekiwane wnioski, wysnute z badań nad podstawami indywidualizmu, wywołane chęcią uchronienia człowieka od błąkania się po manowcach romantyzmu i racjonalizmu. Wnioski te zyskują równoczesne potwierdzenie w toku innych rozważań z tych samych lat.

BOHDAN SUCHODOLSKI

[25]) „Legenda" — 395—6.

[26]) „Kryzys w literaturze rosyjskiej" — „Głosy" 194.
[27]) l. c. 193.
[28]) l. c. 196.
[29]) l. c. 195.
[30]) l. c. 196.

KANTATA

NA UROCZYSTOŚĆ 250-LECIA WSZECHNICY JANA KAZIMIERZA WE LWOWIE*)

Niech nam się chwała ojców naszych święci!
Hołd ich pamięci,
Wieczysty hołd i cześć!
Albowiem w chwalebnym czynie
Chwalebną zamknęli
Myśl:
Kiedy się statek zachwiał na topieli,
Wiedzy świątynię
Postanowili wznieść,
Iżby sterników sprawnych i żeglarzy
Zwycięski wychodził z niej hufl...

Jeżeli tonów potrzeba i słów,
Ażeby uczcić tę wspaniałą chwilę
Wspomnienia,
Niech czczą ją tony i słowa!
Lecz w nas, potomkach tego pokolenia,
Co, czyn swój spełniwszy, zagasło,
Nie wiedząc jeszcze, jakie będą plony,
Niechaj się chowa
W rosnącej sile
Potężne hasło
Otuchy i wiary:
Że nie na słabe przejęliśmy bary
Po ojcach ten spadek nasz,
Skarb ten prześwięty —
Że, czujną nad nim utrzymując straż,
Po wiek mu serdecznie oddani,
Nietylko nietknięty,
Mimo burzliwe odmęty,
Do spokojniejszej poniesiem przystani,
Lecz, że stokrotnie zwiększony
Ten brylant śród ojczystej lśnić będzie korony!..

Słowa i tony
Wżdyć niepotrzebne, gdzie przemawia k'nam
Dzieła oblicze,
Niech jednak słowo i muzyczny ton
Aż do najdalszych docierają stron,
Do drzwi sosnowych, do śpiżowych bram,
I niemilknącą niechaj głoszą cześć
Dla myśli,
Co się zamyka w czynie,
Wiedzy budując świątynie:
Niejedni z nich wyszli
Mężni sternicy i żeglarze,
Ażeby statek wieść
Po rozpienionej fali!
Niejedni z nich wyjdą jeszcze
Mężowie w hartownej stali,
Ażeby w zbitym szeregu
Burze przetrzymać złowieszcze
I, dopłynąwszy do brzegu,
W radosnym żarze
Zawołać w głos:
Szczęśliwy, szczęśliwy los!
Bogowie zwycięstwo nam dali!

1912 JAN KASPROWICZ

*) Pierwodruk w „Słowie Polskiem" we Lwowie, w nr. 247 z 29 maja 1912 r. Nie znajdujemy tego utworu w ogólnym zbiorze pism Kasprowicza, wydanym przez prof. Kołaczkowskiego. — Red.

NA WIDOWNI

Tradycje uniwersyteckie i cywilizacja narodowa. — Co mówił arcybiskup Bilczewski. — Testament króla Jana Kazimierza. — Kara za głoszenie prawdy. — Dawny Lwów pracujący dla Polski. — Balzer jako filar cywilizacji. — Co to jest wolność?

TO, CO PISZĘ, będzie niejako komentarzem do kantaty Kasprowicza, zdobiącej dziś nasze pismo. Pamiętam tę piękną uroczystość z przed lat 21. Było to we Lwowie, który w poczuciu swej misji narodowej czerpał siłę moralną, świeżość i bezpośredniość: tam myśl, uczucie i czyn bez pomocy kłamstwa i konwenansu umiały się łączyć w jedno. Lwów był dumny i szczęśliwy — i to wyraził Kasprowicz — że ojcowie 250 lat temu ufundowali wszechnicę lwowską w tym celu, aby z niej wychodzili sternicy cywilizacji narodowej.

Potomkowie tamtego pokolenia znaleźli się w niewoli politycznej, ale dzięki tej instytucji, mającej gwarantowaną wolność, zdolni są mieć otuchę i wiarę w przyszłość. „Skarb ten prześwięty", swój uniwersytet, do spokojniejszej doniosą przystani, — do wolnej Polski, aby w „ojczystej Koronie" lśnił jak brylant. A kiedy to osiągną, zawołają w głos:

Szczęśliwy, szczęśliwy los —
Bogowie zwycięstwo nam dali!

Czy dano nam korzystać w pełni ze zwycięstwa? Czy nie zatruwa nam radości, że w ogólnym rezultacie zjednoczenia doszliśmy do takiego poziomu cywilizacyjnego, do którego nie dotarła pieśń, głosząca „cześć dla myśli, co się zamyka w czynie, wiedzy budując świątynię"?

Dziwny los, że czasy niewoli trzeba wspominać jako te, kiedy nic nie groziło polskiemu uniwersytetowi. A przecież były konflikty i to nie z własnym rządem. Choćby ten szczegół, że na uroczystość jubileuszową nie przybył namiestnik Bobrzyński, obrażony na młodzież, która go w uniwersytecie jajami obrzuciła. Były zatargi — i krwawe — z młodzieżą ruską, a przecież uniwersytet był cesarsko-królewski, a rusini byli oczkiem w głowie polityki austrjackiej. Pomimo to na uroczystość przybył delegat rządu, szef sekcji Ćwikliński i przemówił gorąco do młodzieży, zachęcając do kultywowania ideałów (narodowych). „Nie tylko" — mówił — „młodzież ma ideały, ale ten jest młody, kto ma ideały".

To było na akademji, ale pamiętam — ze szczególnem wzruszeniem słuchałem w katedrze słów ks. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego. Świątynia była zatłoczona. W presbiterjum oprócz władz zasiedli przedstawiciele uniwersytetów zagranicznych, uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademji, Senat uniw. lwowskiego. Straż pełniło sokolstwo. Otóż świętobliwy ten pasterz i mądry człowiek mówił od ołtarza między innemi (należy to z uwagą przeczytać):

„Przybyliście podziękować Bogu, iż króla wolnej Rzeczypospolitej natchnął wielkoduszną myślą założenia najwyższej uczelni we Lwowie i że ją, w potopie nieszczęść, które spadły na ojczyznę, zachował nam całą. Nie dość jednak byłoby dziękować. Chwila i miejsce domagają się czegoś więcej.

Wznieście, proszę, oczy na tron, unoszący się nad ołtarzem. Jest tam relikwja z lepszych czasów — obraz, przed którym Jan Kazimierz z rycerstwem imieniem całej Rzeczypospolitej ślubował Bogu wierność, ludowi wiejskiemu sprawiedliwość. Śluby te wciąż trwają. Dlatego przed kilku laty biskupi ponowili je, w porozumieniu z naczelnikami kraju, przy wtórze stutysięcznej rzeszy. Teraz na Was kolej, rycerstwo duchowe Jana Kazimierza, złożyć *votum*. Nie wahajcie się. Rozumiem Was. Nie obrażę Waszego sumienia profesorskiego.

Założyciel akademji nałożył Wam obowiązek apostolstwa i wyznawstwa p r a w d y. Ślubujcie tedy, ślubujcie szukać wytrwale prawdy, głosić prawdę, t y l k o p r a w d ę, całą prawdę, nie przenosząc nigdy nad niezachwianą prawdę tego, co niedość sprawdzone, ale miłości własnej dogadza, bo nowością i rozgłosem nęci. Ślubujcie uprawiać naukę czystą, całkiem czystą, bacząc, aby namiętność, uprzedzenie, niechęć nie zaciemniały trzeźwego sądu Waszego. S l u b u j c i e b r o n i ć w o l n o ś c i n a u c z a n i a, wolności prawdziwej, dalekiej od owej zachłanności, która zagarnia wszystkie przywileje dla siebie, odmawiając przeciwnikom, rzeczywistym czy urojonym, nawet prawa do życia. Slubujcie podawać odważnie wyniki swych badań, nic nie chowając pod korzec, ale zawsze tylko pewnik zwąc pewnikiem, a przypuszczenie przypuszczeniem. To są święte prawa, których Wam nikt nie może zaprzeczyć, gdyż płyną z i s t o t y W a s z e g o u r z ę d u i t y l k o p r z y c a ł k o w i t e m i c h p o s z a n o w a n i u w y p e ł n i ć j e s t e ś c i e w s t a n i e d o s t o j n i e i z p o ż y t k i e m udział swój w pracy nad kulturalnym dorobkiem ludzkości.

Jeszcze drugą król fundator nałożył na Was misję — „rozniecanie należnej czci i wyznawstwa cnoty". Cnoty, przynajmniej pełnej, nie masz bez wiary. Więc, kiedy już ubezpieczone prawa Wasze naukowe, ślubujcie dalej, iż równie troskliwie, jak koło czystości wiedzy, zabiegać będziecie koło całości wiary katolickiej. W jaki sposób? Przypominam *adaglum* dawnych medyków: „*primum non nocere!*" A więc najpierw nie osłabiać tego, co Waszym słuchaczom powinno być święte. Pamiętacie, jak chór Sofoklesa, wznosząc w górę ręce, błaga: „O, nie daj nam nigdy zdradzić praw prastarych, zesłanych z jasnych wyżyn!" Lud polski w głębi swej duszy nawskroś religijnej tę samą do Was zanosi prośbę".

Jakże to pięknie było powiedziane! A mówił to syn chłopski, taki jak Kasprowicz, wówczas profesor uniwersytetu, tak samo jak tamten stale wzruszony, że mu los dał stanąć na szczycie cywilizacji. A do młodzieży czcigodny ten kapłan mówił:

„...Przedewszystkiem ludzi czynu narodowi potrzeba, którzyby ofiarnie i bezinteresownie umieli zapracować się na śmierć dla wielkich ideałów, dźwignąć się na owe wyżyny, na jakie wzniósł się szlachetny obywatel i pisarz starożytności, kiedy powiedział: „nie masz wznioślejszego święttowania nad spełnienie obowiązku!" [1]). Nie odchodźcie, proszę, młodzi przyjaciele, z świątyni, zanim i Wy nie złożycie ślubowania, iż mianowicie niczego w życiu nie będziecie żałowali Bogu i ojczyźnie. Jeśli na tę obietnicę się zdobędziecie, co więcej, jeśli jej w całości dochowacie, spełni się cud, że poruszycie bryłę świata z posad i pchniecie dzieje narodu nowemi tory!"

A zakończenie mowy:

„Wreszcie na ręce mistrzów i uczniów obecnych i przyszłych życzenie. Posłużę się słowami dyplomu erekcyjnego.

„Stanowimy, pisze król, aby nowa uczelnia po wieczne czasy pod nazwą uniwersytetu trwała... a b y t e r a z i n a w i e k i u ż y w a ł a o t r z y m a n y c h s w y c h p r a w, p r z y w i l e j ó w, w o l n o ś c i, p r e r o g a t y w, i m u n i t e t ó w, t y t u ł ó w, o z n a k, g o d n o ś c i".

Tak nam zdarz Bóg!"

Wydało mi się na czasie uprzytomnić ten wspaniały obraz ślubów — w czasach, kiedy ludzie małego lotu historycznego ugrzęźli głową w trzęsawisku wschodnich uproszczeń socjologicznych. Ludzie ci mniemają, że zrobią dobry dla Rzplitej interes, wyłuskując z jej korony brylanty, o których pisze Kasprowicz, i zastępując je byle szkliwem administracyjnem. Te brylanty nie nadają się do żadnej innej korony i rozsypią się w rękach niepowołanych bez żadnej korzyści, owszem ze stratą dla Rzplitej. Ideałem tych ludzi jest uniwersytet rosyjski taki, jaki istniał przed wojną w Warszawie. Może to nie ideał, ale koniecznością wydało się wymierzenie kary za to, że uniwersytety pozwalały sobie na wypowiadanie niezależnych opinij o rzeczach, dotyczących p r a w d y i c n o t y. Ale

[1]) To z Tucydydesa.

obowiązku służenia prawdzie i cnocie nie da się w drodze ustawy wyperswadować ludziom na wyżynach ukształcenia duchowego; słusznie też profesor uniwersytetu lwowskiego, Stanisław Starzyński pisze teraz w „Kurjerze Warszawskim“ (nr. 45):

„Jestem prawie pewny, że ci, którzy ten kwiatek ustawodawczy wymyślili, mieli na myśli przedewszystkiem „Brześć“, t. j. protesty profesorskie przeciw smutnym wypadkom w Brześciu nad Bugiem. Ale niech nie zapominają, że ci, którzy jeszcze pod rządem zaborczym w roku 1918 nie zawahali się stanąć murem przeciw „Brześciowi Litewskiemu“, t. j. zdradzieckiemu traktatowi pokojowemu między Austrją a t. zw. Ukrainą, potrafią, pomimo tego nowego kwiatka ustawodawczego, ponowić stanowisko, zajęte przeciw Brześciowi nad Bugiem, w razie gdyby kiedy czuli się, niestety, w swem sumieniu do tego zmuszeni“.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Mając w żywej pamięci uniwersytet warszawski, porównywałem go z autonomicznym lwowskim, skąd płynęła fala, odradzająca życie. Nie ważyło się tego źródła zasypywać państwo austrjackie, odkąd wypadło mu się liczyć z Polakami. Zazdrościłem młodszemu pokoleniu, do którego z katedr przemawiali: Balzer, Abraham, ks. Fijałek, Głąbiński, Grabski, Starzyński, Bruchnalski, Kasprowicz, Porębowicz, Twardowski, Ernst, Sobierański, Bądzyński i tylu innych.

Któż z nich mógł oczekiwać, że w marzonej przystani, jaką miała być niepodległa Polska, wyjdzie z ich grona przeniewierca, i to historyk, który przewodząc komisji Senatu, splunie na testament króla...

W dzisiejszem mieście wojewódzkiem Lwowie, zaledwie tolerowanem przez „sanację“ w tytułach polskości, istniało przed wojną około dwudziestu polskich towarzystw naukowych. Niektóre z nich do obecnej chwili obsługują całą Polskę swoją działalnością. Wymienię główniejsze: Tow. popierania nauki polskiej (Balzer), obecne Tow. Naukowe, Tow. historyczne (czas. „Kwartalnik Historyczny“), heraldyczne („Przegląd Heraldyczny“), ludoznawcze („Lud“), literackie im. Mickiewicza („Pam. Literacki“), prawnicze („Przegląd prawa i admin.“), nauczycieli szkół wyższych („Muzeum“), pedagogiczne („Szkoła“), filozoficzne („Ruch Filozof.“), filologiczne („Eos“), przyrodnicze im. Kopernika („Kosmos“), lekarskie („Przegląd Lekarski“), hygjeniczne („Przegl. Hygjen.“), politechniczne („Czasop. Techn.“), weterynaryjne („Przegl. Wet.“) i in.

Polski Lwów, owa „nędza Galicji“ Szczepanowskiego, skazany na ciągłą walkę w obronie sztandaru narodowego, wniósł do Polski zjednoczonej bogaty posag cywilizacyjny. Jak wyglądałaby historja Polski bez prac Balzera, Dąbkowskiego, Tad. Wojciechowskiego, Małeckiego, bez „Kwart. Historycznego“, dalej bez plonu szkoły Twardowskiego w Tow. Filozoficznem, bez plonu Tow. literackiego i jego „Pamiętnika“? Skądże się brały te ogniska myśli? To były rozgałęzienia katedr szkół akademickich. Wyrażała się w nich żywotność nauki polskiej, która, zrzekając się ezoteryzmu, uspołeczniała się. Towarzystwa rzeczone skupiały koło profesorów szersze sfery inteligencji, które przez to odzyskiwały kontakt z nauką. Cóż warta „inteligencja“ bez pracy umysłowej? Ludzie, których nauka uniwersytecka wyniosła na szczyty cywilizacji, nie powinni spływać ze świata rynsztokami chwili bieżącej. Ich misją jest trzymać się w górze i dźwigać misterną budowę cywilizacji narodowej ku stratosferze. Bez współdziałania ze społeczeństwem cywilizacja nie spełnia roli historycznej.

Polacy, zarażeni duchem wschodu, nie mają dostatecznej wyobraźni, jak się tworzy cywilizacja zachodnia. Ideałem ich jest uniwersytet biurokratyczny, jałowy społecznie, wytwarzający „speców“. Ten wyraz „spec“ powielekroć dał się słyszeć teraz w komisji oświatowej Sejmu — i to z ust ministra. W Rosji przechowały się tradycje wschodnie „wiedzy tajemnej“ i na nich oparła swój pogląd na naukę uniwersytecką policja. Mamy przecież smutne doświadczenia na Warszawie, do tej pory umysłowo nie zorganizowanej, jak małe znaczenie dla cywilizacji polskiej miał uniwersytet warszawski, pomimo że długo trzymali się w nim profesorowie Polacy. A dalej: czem było Wilno za uniwersytetu samorządnego, a co się z niem stało po zniszczeniu tego ogniska?

Ludziom bez wyobraźni twórczej, zdolnym rozumieć tylko uproszczoną mechanikę wzoru policyjnego, trudno byłoby pojąć rolę takiego np. Oswalda Balzera we Lwowie. Niechżeby władze austrjackie odebrały mu katedrę za patrjotyzm, za sprzeciwianie się polityce ukraińskiej Wiednia, choćby za wyrwanie Węgrom Morskiego Oka, cały gmach jego pracy cywilizacyjnej, wysoko ponad Lwów przez niego wzniesiony na użytek całej Polski, widzialny na cały świat, — runąłby. Rząd austrjacki tego nie zrobił. Na samą myśl, że cywilizację polską może to spotkać teraz, nie tylko we Lwowie, wielki duch Balzera stracił równowagę. Serce tego tytana tej próby nie wytrzymało.

Związek naukowo-literacki, który kilkanaście lat prowadziliśmy we Lwowie wespół z J. Gw. Pawlikowskim i Kasprowiczem, był terenem wolnej wymiany myśli w sprawach kultury umysłowej, na którym spotykały się osobistości ze wszystkich wyżej wymienionych towarzystw naukowych. Tutaj falowało życie umysłowe Lwowa, ogarnięte jakąś wspólną podniętą, jakby płynącą z przeczucia, że w tym „radosnym żarze“ — jak pisał Kasprowicz — „dopływamy do brzegu“. Wiele w tym względzie sprawił silny dopływ do Lwowa ogólnego ruchu narodowego. Mam przy sobie obszerną korespondencję z Balzerem w sprawie zjednoczenia lwowskich towarzystw naukowych przez uczynienie z nich sekcyj wielkiego Tow. Przyjaciół Nauk. Była to inicjatywa Związku, szeroko dyskutowana na czwartkowych zebraniach. Na ten temat pisałem — pamiętam — w „Słowie Polskiem“ z zapałem długi na pięć numerów artykuł. Po wojnie dopiero myśl ta urzeczywistniła się w postaci Związku towarzystw naukowych we Lwowie, Balzer zaś przeobraził swoje towarzystwo na Tow. Naukowe.

Polska społeczność, należąca do zachodniego typu cywilizacji, ma naturę istności organicznej, nie mechanicznej. Rozrasta się w gmach cywilizacji siłą twórczą obywateli. Prawo tworzenia jest dla nich zarazem prawem wolności. Trzeba to zrozumieć, że idea wolności, tak często bez poczucia realnego głoszona, jako coś mistycznego, i dlatego nadnżywana lub niedoceniana, ma swoją treść w prawie wolnego tworzenia cywilizacji własnej. Tem się tłumaczy wolność autonomiczna, dawana od wieków ogniskom twórczości duchowej i prawem gwarantowana. Ustrój państwowy, któremuby ten system wolności wadził, nie odpowiadałby stylem organizmowi narodowemu, mającemu to prawo wolności w instynktach. Byłby to strój pożyczony z cywilizacji niższej.

Niechże nas bronią bogowie od tej krzywdy i ośmieszenia w oczach historji.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

POLAK W CIĄGU KILKU OSTATNICH LAT dobrze mógł się oswoić z uczuciem wstydu. A jednak znów uczucie to odezwało się, jak świeże, gdy przed paru dniami przeforsowano ostatecznie w sejmie, głosami klubu BB., ustawę, znoszącą w Polsce autonomję szkół wyższych i wolność nauki. Niewątpliwie i wśród sanatorów byli ludzie, zdający sobie sprawę, że nowa ustawa nie ściąga na naród sławy. Jeśli z tem się pogodzili, jeśli zdecydowali się poświęcić tradycję jagiellońską, i odsunąć Polskę jeszcze dalej od cywilizowanego Zachodu, to zrobili to dlatego, że zajrzała snadź w oczy konieczność. Za cel najważniejszy dziś uznano: walkę z młodem pokoleniem. Warto było ponieść nawet niemałe ofiary z narodowego dobra, żeby zapewnić sobie lepsze szanse w tym boju z młodzieżą. I dużo mówi o dzisiejszem położeniu w Polsce i perspektywach na przyszłość miara ofiar, na jakie się zdecydowano. Narazie minister ma być wszechwładnym panem wyższych uczelni. Usuwanie i mianowanie profesorów będzie zależało od jego „widzi mi się". Niewątpliwie dlatego „wolność nauki" na wyższych uczelniach wydaje się dziennikom sanacyjnym tak zagwarantowana. Młodzież znaleźć się ma pod najściślejszą kontrolą administracyjną. Nauczyć jej mają „ducha państwowego" ludzie, wychowani w niewoli, a przedewszystkiem oduczyć przesadnego poszanowania dla takich niebezpiecznych tradycyj Polski niepodległej, jak zasada autonomji akademickiej. Pamiątka taka nie może być tolerowana, jak się okazuje, ze względów zasadniczych: „Rząd przeprowadza reformę ustroju szkolnictwa wyższego" — czytamy w „Gazecie Polskiej" z 21.II — „nie z jakichś okolicznościowych powodów, tak jak właśnie z okolicznościowych powodów broni „autonomji akdemickiej" endecja. Rząd przeprowadza tę reformę z przyczyn zasadniczych: bowiem żadna dziedzina życia państwowego nie może — wskutek chowania się za tę czy inną frazeolozję — zostać wyłączona z pracy nad jednolitem umacnianiem Państwa..." Doprawdy rzadko kiedy interes partyjny wypowiadał się tak nieszanownie. Dla celu tego narażono dobra, które bezwzględnie zostać powinny poza strefą walki domowej. — Tak tedy zrobiono jeszcze jeden walny zabieg, żeby utwalić w Polaku uczucie niższości kulturalnej wobec cudzoziemca. Niższość ta przyjęta była coprawda za podstawę i stanowisko wyjściowe wszystkich działań „sanacji". Ale upokarzanie dumy narodowej napewno nie jest najskuteczniejszym sposobem walki z młodzieżą akademicką. Nie zapewni zwycięstwa nad młodem pokoleniem.

OD ZDARZEŃ TAKICH, JAK ZNIESIENIE AUTONOMJI UNIWERSYTETÓW W POLSCE, myśl dość naturalnie przechodzi do kwestji propagandy zagranicznej. Minister spraw zagranicznych w niedawnem *exposé* poświęcił kilka słów propagandzie — mniej więcej w tym sensie, że propaganda jest zabawą tych, co mają pieniądze. Istotnie, można mniemać, iż wobec efektownych zdarzeń w kraju nasza propaganda zagraniczna robi się sama i niewarto wiele do tego dopłacać. Przypomnijmy sobie jednak, jak imponująco napozór wypadł obraz naszych zabiegów propagandowych w przedstawieniu referenta budżetu ministerstwa spraw zagranicznych, posła Walewskiego. Krzątanina oto niesłychana. „W roku ubiegłym" — mówił referent (cytujemy za „Gazetą Polską")—„Polska brała udział w 7 wystawach międzynarodowych, poświęconych sztuce i nauce, w 13-tu kongresach i konkursach muzycznych, zorganizowano uroczystości Chopinowskie, w dziedzinie zaś literatury i teatru wystawiono zagranicą szereg polskich utworów. Towarzystwo szerzenia sztuki polskiej wśród obcych opracowało 75 obszernych studjów, około 800 wydawnictw. Zorganizowano wystawy malarstwa polskiego, graficzną, sztuki ludowej i dekoracyjnej, sztuki religijnej, teatralną i t. d. w różnych krajach. Dokonano szeregu przekładów dzieł autorów polskich na języki obce. W dziedzinie propagandy naukowej jest również postęp..." Mało kto zdaje sobie sprawę, że krzątanina to przeważnie bez sensu i ładu, czyli to, co w języku staropolskim nazywano: treter. Któżby się domyślił, że ani jedna z tych imprez nie dała naprawdę poznać zagranicy ani nauki ani sztuki polskiej, żadna nie była przedsięwzięciem propagandowem dużej miary. Pomimo „800 wydawnictw" (?) zagranica nadal nie wie prawie nic o sztuce polskiej, a „szereg przekładów" dzieł autorów polskich na języki obce wygląda nad wyraz mizernie. Podobnie rzecz się ma z aklimatyzowaniem polskiej twórczości dramatycznej w teatrach zagranicą. Uderza w sprawozdaniu posła Walewskiego zupełna niekompetencja, zwrócenie uwagi na ilość (nadomiar wątpliwą), nie na jakość. Mniejsza o to, co się pokazuje, i jakie to sprawia wrażenie, najważniejsze to, żeby wydawało się, że jest ruch, że się wystawia, wywozi, tłumaczy... Przypominają się słowa Kochanowskiego z fraszki — jak to — przy lada okazji my wnet

„jako dzieci
w taki treter, że z sobą wyniesiem i śmieci".

Otóż tak właśnie propagandy robić nie należy. Zwłaszcza, gdy się ma mało pieniędzy, trzeba zwrócić uwagę przedewszystkiem na jakość, nie na ilość. Przedsięwzięcia niech będą nieliczne, ale efekt możliwie poważny i trwały. Poprostu — bez słusznego powodu wpadać w propagandowy treter nie należy.

TRWAJĄCE OD WIELU LAT ROZMOWY W PRASIE, prowadzone pomiędzy żydami, kryptożydami i żydoidami z jednej strony, a pisarzami polskiego obozu narodowego — z drugiej, ujawniły ponad wszelką wątpliwość dwa odpowiednie do tego podziału typu rozmówców, dwa typy ducha i kultury. Żydzi (a za nimi ich pachołcy, pochodzenia polskiego) są krzykliwi, zapluci w swojej krzykliwości, ponad wszelką miarę wielosłowni i bezczelni w oszustwie, które rozrzucają dokoła we wszelkich monetach — od najgrubszych do najdrobniejszego bilonu fałszerskiego. Z rasy swej i od urodzenia wierzą oni w hypnotyzerską siłę słowa, więc tonem krzkliwym gadają, gadają i gadają, fałszują, fałszują i fałszują aż do utraty przytomności. Zaś strona polska tych sporów umiarkowana jest w słowach, nawet skąpa, a zarazem spokojna, rzeczowa i uczciwa.

Różnica ta nie przeszkadza żydom dzień w dzień krzykliwie utrzymywać, że narodowa prasa polska „wścieka się", „ciska się" „wrzeszczy" i tym podobne. Aż dziw bierze, jak można do tego stopnia kłamać, fałszować, oszukiwać. Polacy nie są

w stanie zgłębić tej narodowej cechy żydów — oszustwa do dna rzeczy i wskroś dna rzeczy, oszustwa w żywe oczy, oszustwa wobec przedmiotu, co do którego nikt mie noże mieć żadnej wątpliwości. Niema tamy, niema kresu dla żydowskiego oszustwa. A ponieważ prasa kryptożydowska i pod wpływami żydów pozostająca codzień i we wszystkich sprawach kłamie, oszukuje i krzyczy, wytworzyła się w niektórych ośrodkach życia polskiego atmosfera moralna tak ciężka, zgniła i cuchnąca, że tylko przez zupełne jej odosobnienie można zachować czystość duchową społeczeństwa polskiego.

W ostatnich czasach, na szczęście, odosobnienie tych dwóch światów dokonywa się z coraz większą dokładnością. Sprzyja temu narastanie polskiej warstwy oświeconej przez dopływ do niej nowych pokoleń, które są czyste, zdrowe i silne. Jednocześnie dokoła żydów, w polskiej kulturze „robiących“, wyrasta mur coraz wyższy, szczelniejszy i grubszy. Zasklepi się on wkońcu od góry w rodzaj krypty, w której całe kryptożydostwo będzie mogło już samo sobą oddychać, samo w sobie dusić się i zasmradzać. Będziemy mogli wtedy powiedzieć żydom „na zdrowie!“ i więcej w ich sprawy wewnętrzne się nie wtrącać. Krypta zrobi swoje. Zaś potem, kiedyś, w przyszłości będą mogli sobie historycy odkopać ją i zbadać, historycznie i psychologicznie, jeśli będą mieli ochotę. Zgnilizna krypty zeschnie i w proch się zamieni, więc będzie dość bezpieczna dla nosów ciekawskich, a to tembardziej, że i w społeczeństwie polskiem nie będzie już wtedy tych słabych i bezwolnych, dzisiejszych naszych... Ajnosów.

W WOJNIE PRZECIW POLAKOM żydzi umiejętnie stosują sposoby dawnych wojsk chińskich, które straszyły nieprzyjaciela niesionemi przed sobą wyobrażeniami smoków, djabłów i poczwar przeróżnych. Polacy nie odznaczają się odwagą cywilną, więc wielu z nich i w tej—z żydami wojnie cywilnej dygoce ze strachu i zmyka, gdy im przed oczy żyd jaką płachtą namalowaną wymachiwać zacznie. Dużo już nagromadziło się tych płacht w magazynach teatralnej amunicji żydowskiej. Jest w czem na każdy wypadek wybierać — czerwone i czarne sztandary rewolucyjne, potwory reakcyjne, morskie węże pożyczek zamorskich, smoki Ligi Narodów, piekielne race faszyzmu i tak dalej, a przy ukazaniu się każdej maski rozlega się taki wrzask wszystkich żydów i takie ich podskakiwanie, że odpowiedni Polacy do głębi serca się przerażają i kapitulują.

Że, istotnie, grasuje nagminna wśród Polaków trwoga wobec żydostwa, o tem, z pośród setek przykładów niech zaświadczy jeden typowy, a tem znamienniejszy, że od bieżącego życia daleki. W słynnym sporze, który rozgorzał i przygasł prędko w prasie polskiej, a dotyczył tajemniczych okoliczności śmierci Adama Mickiewicza, niejedne ujawnione dane i poszlaki wskazują na żydów, jako sprawców otrucia. Mimo to głosy polskie przemilczają żydów, a chętnie o tę zbrodnię oskarżają ówczesny rząd rosyjski, jakkolwiek przeciw niemu są wysuwane tylko gołosłowne hypotezy. Oto podwójna miara sądu, gdy idzie o żydostwo! I jakże tu nie używać starych metod chińskich — potworów i smoków malowanych przeciw tak odważnym Polakom?.. Metod tak bezkrwawych, a tanich, wesołych i skutecznych?!

NAUKA I LITERATURA

MACIEJ WIERZBIŃSKI A ZIEMIE ZACHODNIE

MOŻNA mieć rozmaite zastrzeżenia co do znaczenia powieściopisarskiego Macieja Wierzbińskiego, można przyznać, że styl jego powieści pozostawia dużo do życzenia, że stworzone przez niego postaci mało są prawdopodobne i psychologicznie słabo nieraz uzasadnione, można stwierdzić, że Wierzbiński nie posiadał nerwu dramatycznego— krzywdę się jednak czyni zasłużonemu powieściopisarzowi, pomawiając go o „kołtuństwo ideowe“, jak to uczynił powierzchowny w swych sądach Feldman we „Współczesnej Literaturze Polskiej“.

Jeśli głęboka nić duchowa łączy Wielkopolskę z Maciejem Wierzbińskim, to jest nią właśnie jego ideologja, szczególnie ta, którą przejawiał w swych powieściach, poświęconych kresom zachodnim („Wolność“ — o powstaniu wielkopolskiem; „Pękły okowy“ — o powstaniach śląskich; „Zdobycie Gdańska“ — fantazja o zdobyciu Pomorza i Gdańska; „Atak Sępów“ — wizja przyszłości bliskiej i pracy kreciej niemieckiej na Pomorzu). Wierzbiński był patrjotą płomiennym, Wielkopolaninem z krwi i kości, bywał szowinistą w sprawach tyczących się Niemiec — ale miał sąd przeraźliwie jasny w tych kwestjach, sąd oparty na kilkudziesięcioletnich obserwacjach, dostrzegał niebezpieczeństwo niemieckie jak mało kto, ale nie przeceniał go, bo wierzył w siły żywotne Polski, szczególnie zaś Wielkopolski.

Jeśli Niemców w swych powieściach charakteryzował jako pyszałków, brutalów bez sumienia, pastwiących się nad rannymi, nieszczędzących ni kobiet ni dzieci, fanatycznych polakożerców, a przytem tchórzliwych, gdy niebezpieczeństwo było bliskie, i gwałtem na gwałt odpowiadano — jeśli ich ak malował, nie podnosząc pewnych ich zalet — to dlatego, że mniemał, iż owe wady Niemców przesłaniały zupełnie na zalety. Opisuje ich takich, jakimi ich widział na ziemi polskiej w czasie zaborów. Wierzbiński znał jednak niemniej dobrze i swoich, społeczeństwo wielkopolskie. Wiedział dobrze, że olbrzymia większość polskiej ludności ziem zachodnich, to gorliwi bez zastrzeżeń patrjoci, wyczekujący z utęsknieniem chwili wyzwolin, gotowi rzucić bez wahania życie na szalę wypadków dziejowych, gdyby chodziło o oswobodzenie byłego zaboru pruskiego z pod łapy ciemiężyciela. Znał także i takich Polaków, którym szybki rozwój Niemiec, ich materjalna kultura — zasłoniły rzeczywistość, wprost oślepiły, owych ugodowców, którzy plackiem padali przed butem pruskim, szukali współżycia, nie widząc ironicznego traktowania ich ze strony *Kulturträger*'ów, nie odczuwając ich pogardy.

Z wymienionych czterech powieści, które Wielkopolanie najlepiej pamiętać będą z twórczości Wierzbińskiego, najlepszą jest powieść pierwsza p. t. „Wolność“ (Księg. św. Wojciecha). Opisuje tu Wierzbiński dokładnie najpamiętniejsze chwile, jakie Polska zachodnia przeżywała: od zdobycia Poznania do kapitulacji Bydgoszczy. Wszystkie ideały szlachetnego Polaka wcielił Wierzbiński w postać Żabickiego, młodego wielkopolanina, który uosabia wszystko najlepsze, co tkwiło w duszy Wielkopolski całej. Prusinowski zaś przedstawia typ ugodowca, któremu cały wysiłek powstańczy Wielkopolski wydawał się niebezpieczną igraszką, zuchwałością w stosunku do „groźnych“ Niemiec.

Oba te typy odzwierciadlają bardzo wiernie uczucia i nastroje Wielkopolski w owym pamiętnym okresie zrzucania z siebie jarzma niewoli. Powieść zaś sama tchnie owym entuzjazmem, szałem radości i upojenia z odzyskiwania wolności, jaki się wówczas istotnie w całej Wielkopolsce przejawiał. Wierzbiński, przecież już w podeszłym wieku, kiedy owe powieści pisał, okazuje w nich ową pełną szczęścia

radość najmłodszych synów Wielkopolski, entuzjazm, brawurę nie liczącą się z niczem, nie do powstrzymania w rozpoczętym pędzie, nienasyconą w swem pragnieniu sięgania po coraz dalsze ziemie, zamieszkałe przez Polaków, a jeszcze okupowane. Nie zadowala się więc Wierzbiński (a zgodna z nim pod tym względem cała Wielkopolska) temi granicami, jakie Polska posiada, sięga po Gdańsk („Zdobycie Gdańska") i Prusy Wschodnie, pragnie Kowna. W swych fantazjach, ale i w powieściach, odtwarzających dość wiernie przebieg powstań, tłumaczy Wierzbiński w sposób zupełnie przekonywający: wolno być imperjalistami Niemcom, Anglikom, Francuzom, Włochom — wolno i Polsce, tembardziej, że sięga tylko po swoje. Żal i gorycz zalewa serce autora, gdy widzi, że „czynniki miarodajne", zarówno wielkopolskie jak i centralne, przeciwstawiają się się entuzjazmowi, heroizmowi młodych, nie wyzyskują patrjotyzmu młodocianych, improwizowanych wojaków. Wierzbiński jest wyznawcą zasady, że co się orężem wzięło, krwią przypieczętowało, tego już ludzka siła nie wydrze.

Pogląd Wierzbińskiego na Niemcy, wypowiedziany w wymienionych powieściach, jest do dziś dnia poglądem trzeźwo myślącego społeczeństwa wielkopolskiego, zarówno pokolenia starszego jak i młodszego — i dlatego powieści te stanowić będą dla Wielkopolan lekturę krzepiącą, a ich ideologja u nas nie straci na znaczeniu.

Pod względem artystycznym powieści szwankują poważnie. Styl szczególnie! Pełno jeszcze germanizmów, których się Wierzbiński nie wyzbył do końca, pełno słów, zwrotów i określeń wręcz ambarasujących. Są i pomiędzy niemi takie, które na ustach wielkopolan wywołują serdeczny uśmiech, dla swej typowości regjonalnej (psiajucha, śmierduch). W konstrukcji powieści również bywają rażące błędy; nić erotyczna jest sztuczna, blada, pozbawiona życia, choć miewa niekiedy subtelniejsze momenty; siła opowiadania Wierzbińskiego leży w opisach akcji militarnej, dyplomatycznej, w pewnem kaznodziejstwie patrjotycznem. Jakkolwiek powieści Wierzbińskiego nie stanowią szczytów naszej literatury, pod względem artystycznem są nieraz poprostu małej wartości, to ich idea społeczna i patrjotyczna ocali je od zapomnienia, a nazwisko Wierzbińskiego każdemu sercu wielkopolskiemu będzie drogie.

Mikołów ALFRED JESIONOWSKI

Z ŻYCIA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO.

Wilno obchodziło uroczyście 15 lutego (a cały kraj z uznaniem to przyjął) 50-lecie pracy naukowej i literackiej prof. uniw. Marjana Zdziechowskiego, sławiąc jego zasługi, talent, dostojność i szlachetność serca. Przypomnimy tutaj główne daty. M. Zdziechowski urodził się w maj. Nowosiółkach ziemi Mińskiej w r. 1861. Studjował na uniw. w Petersburgu i Dorpacie, a potem w Gracu i Zagrzebiu. Były to studja nad literaturą porównawczą. Przed wojną zajmował katedrę w Krakowie. Z dzieł jego ważniejsze: Mesjaniści i Słowianofile (1888), Byron i jego wiek (1894—97), Szkice literackie (1900), Wizja Krasińskiego (1902), U opoki mesjanizmu (1912), Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa (1915, 2 tomy), Gloryfikacja pracy (o Brzozowskim, 1916), Wpływy rosyjskie na duszę polską (1920), Europa, Rosja, Azja (1923), Napoleon III (1930), Chateaubriand i Napoleon (1932)

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Znana czytelnikom „Myśli Narodowej" rozprawa profesora Stefana Surzyckiego „Walka o autonomję uniwersytecką" ukazała się teraz w odbitce pod tymże tytułem (Warszawa, 1933, str. 63). Jest to bardzo poważny sukurs dla obrońców autonomji. Ktoby pomyślał niedawno, że w Polsce trzeba będzie walczyć o tak elementarne zasady cywilizacji!

*

O wszechstronności talentu Michała Pawlikowskiego z Medyki świadczy druk, który teraz otrzymaliśmy. Jest to mianowicie odbitka z „Przeglądu Humanistycznego" 1932, zawierająca w jego znakomitym przekładzie znaczny urywek z dzieła Herodota. „Xerxes", przełożony przez Pawlikowskiego stylizowanym staropolskim językiem, czyta się płynnie, jak epos poetycki. (Lwów, 1932, str. 26).

*

Jako pierwszy tom „Pism" W. Berenta ukazał się w starannej i pięknej szacie zewnętrznej „Fachowiec". Powieść ta w swoim czasie była rewelacją, jako wyzwanie, rzucone pozytywizmowi i jego hasłom społecznym. Dziś zaś nabiera szczególnego sensu i barwy aktualności. Tematem jej jest świadome zdeklasowanie się inteligenta: bohater pod wpływem modnych haseł t. zw. „pracy organicznej" rzuca studja i „poświęca się rzemiosłu". Tomy II i III „Pism" zajmuje „Próchno", słynny obraz cyganerji artystycznej i t. zw. schyłkowców. „Pisma" Berenta są wydawnictwem Gebethnera i Wolffa.

*

W wydawnictwach Polskiej Akademji Umiejętności ukazała się książka prof. Uniw. Poznańskiego Zygmunta Wojciechowskiego p. t. „Ustrój polityczny Śląska do końca XIV wieku" (Kraków 1932, str. 274 i mapka). Książka prof. Wojciechowskiego jest odbitką z 1-go tomu zbiorowej „Historji Śląska", która w najbliższych tygodniach ukaże się w nakładzie Polskiej Akademji Umiejętności. Tom ten zawiera ustępy o geografji (prof. Semkowicz), językoznawstwie (prof. Taszycki), prehistorji (prof. Kostrzewski) oraz obszerne opracowania dziejów historyczno - politycznych (prof. Grodecki i prof. Dąbrowski) i ustrojowych (prof. Wojciechowski). Czysty tekst (bez indeksów i t. p.) liczy 804 stron druku — jak wnioskować można z książki prof. Wojciechowskiego.

W tej ostatniej książce ważnem jest stwierdzenie przez autora, że Śląsk odgrywał w średniowieczu rolę pomostu dla wszelkich wpływów zachodnich, idących ku Polsce. Pod tym względem różni się np. od Pomorza, które stało zdala od tych wpływów, a i Wielkopolska ulegała im stosunkowo mniej. W zakończeniu ujmuje autor swe zagadnienie na szerszem tle historyczno-cywilizacyjnem, dając ostatniemu rozdziałowi tytuł „Śląsk czołem cywilizacji polskiej w wiekach XIII—XIV".

*

Skoro się dziś tyle mówi i pisze o aktualizacji lektury szkolnej czy nie szkolnej, tedy warto zwrócić uwagę na fakt, iż ostatniemi czasy dziwnie się stała w Polsce aktualną postać Rycerza Ponurego Oblicza, groteskowego a jednocześnie niepohamowanego w swych pretensjach i ambicjach hidalga z Manczy. Postać ta i motywy jej dziejów raz po raz powracają w powojennej naszej literaturze, rozmaicie pojmowane i ujmowane przez różnych pisarzy. O „Don Kiszocie błękitnym" opowiadał Edward Ligocki, nad czynami hidalga rozrzewniał się Mikołajek Srebrempisany, zastanawiał się zaś nad niemi i myśl z nich nową wysnuł w utworze dramatycznym Stanisław Miłaszewski. Nie sposób wyliczyć innych Kiszotów, Kiszocików i Kiszockich, jacy pojawili się w naszej beletrystyce, a godzi się wspomnieć, że i od strony naukowej poczęto się u nas zajmować nieśmiertelnem dziełem Cervantesa (Wędkiewicz, Z. Matkowski). Co rzecz najznamienniejsza, znalazło się jednocześnie trzech ludzi, którzy — każdy na własną rękę — podjęli się całkowitego przekładu tego arcydzieła, bo dotąd znane było ono u nas bądź z przeróbek dla dzieci, bądź z mocno okrojonych, a w sensie mocno wypaczonych, starych zresztą tłumaczeń (Fr. Podoski, W. Zakrzewski).

Z owych trzech pierwszy i najstarszy, Z. Milner, znany z pięknego przekładu „*Novelas ejemplares*" Cervantesa, miał dostarczyć „Don Kiszota" krakowskiej „Bibljotece Narodowej"; drugi, S. Esmanowski, ogłosił w „Tęczy" urywki swego przekładu, przygotowanego dla projektowanej przez Zegadłowicza „Bibljoteki Wielkiej Książki". Obie imprezy upadły, przeto przekłady te nie ukazały się w całości. Do skutku doszło tylko wydanie przekładu trzeciego, którego dokonał E. Boyé. Przekład ten, ukazujący się zeszytami (nakł. J. Mortkowicza), stoi niewątpliwie na poziomie wysokim. Tłumacz wprost igra sobie z formą, oddając różne kalembury i figliki oryginału, zwłaszcza we wtrąconych w tekst wierszykach (sonety z urwanemi końcówkami wierszy, wobec czego czytelnik przygotowuje się na żart sprośny, gdy tymczasem rzecz się kończy niewinnie). Język barwny i bogaty, zatrącający często wiekiem XVI-ym, ale nigdy nie przesadny w archaizowaniu. Drzeworyty Mrożewskiego doskonałe. Całość wydania przedstawia się pięknie. (J. B.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Wielka nagroda (10.000 franków) „Towarzystwa Literatów" francuskich przyznana została w tym roku młodemu krytykowi, André Billy, za jego pracę o Diderot'cie. W związku z powyższą nagrodą, krytyka literacka stwierdza wzrost zainteresowania się autorem „Siostrzeńca Rameau" („*Le Neveu de Rameau*"), twórcą słynnej „Encyklopedji" i t. p., o którym Sainte-Beuve powiadał, że była to „naj-

abstrakcyjniejsza nasza głowa", w jakiej odnajdywał Goethe'go, Kanta i Schillera razem wziętych. Z wielu bardzo wydawnictw, odnoszących się do Diderot'a, wyróżnia się kilkutomowa jego korespondencja, wydana w 1931 r. przez A. Babelona. Korespondencja ta, przynosząc wiele nieznanych szczegółów z życia jednego z najruchliwszych umysłów XVIII-go wieku, rzuca jednocześnie światło na mniej znane strony jego ogromnego talentu pisarskiego. (W. J.)

*

Do ulubieńców historyków literatury i krytyków literackich należy, wśród pisarzy francuskich drugiej połowy XIX w., niewątpliwie Flaubert. Człowiekowi oraz dziełu jego poświęcił ostatnio gruntowną pracę René Dumesnil, o której krytyka bieżąca wyraża się, iż jest to „książka definitywna", najpewniej do czasu, w którym ukaże się inna, jeszcze bardziej definitywna... (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

W PROGRAMIE swej działalności instytucje wystawowe uwzględniają również pokazy sztuki przeszłości bliższej i dalszej. Organizując je, poczytują to sobie za dowód — nie bez pewnych racyj — rzetelnego wypełniania swych obowiązków wobec społeczeństwa. Program wystaw o charakterze retrospektywnym musi mieć jednak jakieś wytyczne. Nie wyobrażam sobie, aby można było tak poprostu zanurzyć rękę w stos wielkich nazwisk, wyciągając poomacku, jak los, imię kandydata do zapełnienia sali. Niedość w niej rozmieścić dzieła dobre i bardzo dobre: powód urządzenia pokazu sztuki przeszłej musi mieć zawsze głębsze uzasadnienie, choć ono w każdym wypadku może być inne.

Niezbyt jasno zdaję sobie sprawę z argumentów, jakiemi się kierował IPS., urządzając wystawę Lentza. W przedmowie do katalogu czytamy: „IPS. uważa, że przypomnienie twórczości tego świetnego artysty... będzie miało swą rolę w ruchu artystycznym stolicy". Na czem by to polegało, przedmowa nie wspomina.

Jednocześnie IPS suggeruje nam inne powody urządzenia wystawy, nazwawszy ją „pośmiertną". A więc z drugiej strony za pretekst wzięto nie „rolę", tylko okoliczności zgonu artysty, co miało miejsce 13 lat temu, dnia 19 października 1920 roku. Nawiasem mówiąc, zaraz w rok potem, Zachęta urządziła pośmiertną wystawę Lentza i ta nazwa, w tym wypadku, była zupełnie na miejscu.

Nie robiłbym z tego kwestji, bo cóż — od przybytku głowa nie boli; przyjemnie jest zawsze i pożytecznie patrzeć na dobre obrazy, ale ta sprawa (wystaw malarzy dawno zmarłych) łączy się z inną, bardzo aktualną.

Wystawa ma służyć artyście i publiczności, obu stronom być użyteczną. I taką jest też rola instytucji wystawowej. Gdy się pokazuje twórczość wielkich zmarłych, korzysta—choćby największej — jedna strona: widz. Tymczasem, organizując podobną placówkę, daje się zarazem plastykom współczesnym możność walczenia na jej terenie o ich egzystencję artystyczną. I możliwości wywalczania prawa do bytu nie powinna ograniczać instytucja, nie zdając sobie (i nam) dokładnie sprawy, w imię czego to robi. Znam wielu artystów poważnych, rzetelnych pracowników na polu sztuki, którzy nie mogą się doczekać przydziału sali w IPSie. Znam takich, którzy po długich, bezowocnych staraniach w końcu zrezygnowali. A nie każdemu wystarcza kawiarnia. W ten sposób wytwarza się błędne koło. Pracując nad propagandą sztuki z jednej strony, jednocześnie z drugiej — utrudnia się niektórym artystom dostęp do publiczności. Zapewne niema w tem złej woli IPSu, na którego czele stoi prof. Skoczylas, człowiek b. realnie odczuwający potrzeby społeczności artystycznej. Tem nie mniej cała sprawa zasługuje na baczne i wnikliwe rozważenie.

Teraz wróćmy do Lentza. Wystawa jego prac zajęła dwie-trzecie wielkiej sali Instytutu. Katalog notuje 44 pozycje. Najstarszy obraz nosi datę 1880 rok i jest pracą szkolną z Akademji Monachijskiej. Trzeba przyznać, iż prace szkolne i wczesne po-szkolne budzą pewne rozczarowanie. Talent artysty rozwinął się w pełni mniej więcej z początkiem XX-go wieku. Rok 1900-ny przynosi pyszny portret prof. A. Jabłonowskiego, bodaj jedno z najlepszych dzieł artysty. Portret ten odznacza się także fakturą malarską, bardziej zwartą i wymowną, a zarazem lżejszą, niż gdzieindziej.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, iż — zewnętrznie rzecz biorąc — dzieło artysty, malującego z natury, jest rezultatem spostrzeżeń oka, notowanych przez rękę, to będziemy musieli stwierdzić u Lentza przewagę bystrości oczu nad sprawnością dłoni. Oczywiście to jest technika niebylejaka, nieraz dużej miary, ale ona nie ma tej bujności, tego bogactwa własnego wyrazu, jakie posiada sam kształt głów męskich i starczych, z taką pasją dosadną notowanych przez artystę.

Z podobizn zbiorowych, portret zarządu Tow. Naukowego odznacza się, oprócz zwykłej, wyśmienitej charakterystyki osób, także wybornem i żywem upozowaniem każdej postaci.

Ostatnia praca artysty: autoportret z ks. Mrozowskim nosi datę 1920-ty rok.

WIKTOR PODOSKI

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Ze sfer artystycznych otrzymaliśmy (około 10 lutego) list następujący:

„Szanowny Panie Redaktorze!

Przyzwyczajonemu do metod Zachodu widzę jednak że tu trzeba stosować inne. Oświadczam zupełnie serjo, że jeśli pan W. Podoski, współpracownik pańskiego Sz. Pisma (aż trudno uwierzyć) ośmieli się napisać o mnie jak o Czepicie i Okuniu w swym zwykłym tonie megalomana, psa wściekłego i durnia skończonego, operującego tylko gołosłownemi frazesami bez logiki sensu, wygłaszanemi z partesu bez żadnego naukowego uzasadnienia krytycznego dla takich samych durniów z publiczności ucząc ich poniewierania i sztuki i artystów (pierwsze wady, to są wady chorego człowieka indywidualne, ale ostatnia przynosi ujmę redakcji dziennika) to go publicznie spoliczkuję, a każę obić kijami pocichu.

Jeden z dziś wystawiających w Zachęcie.

Takież samo ostrzeżenie posyłam temu durniowi, którego żaden artysta nie powinien nazwać kolegą".

Panie artysto, niech Pan spojrzy, jak to wygląda w świetle dziennem. Pocóż Pan wystawia: czy tylko na sprzedaż? Chyba także i po to, aby ludzie oceniali. Nie można nikogo zmuszać fizycznie do kłamania. Żeby uniknąć publicznego sądu, najlepiej nie wystawiać, albo malować tak źle, żeby krytyk pominął obraz milczeniem. Jeżeli Pan tym listem chciał się zagwarantować na przyszłość, to należało się podpisać, bo może p. Podoski właśnie chciałby się z Panem pobić, w ten sposób zaś nie doczeka się Pan sposobności. P. Podoski potrafi też namalować; niech Pan spróbuje napisać. Napewno Pan pokaże, jak się to pisze bez megalomanji, wytwornie (czego wściekły pies, oczywiście, nie potrafi), nie gołosłownie, lecz z „naukowem uzasadnieniem krytycznem". Niech się Pan pobije na pióra i wogóle niech się Pan nie odzwyczaja od metod Zachodu, do których Pan tak przyzwyczajony... Wtedy dojdzie Pan pracą do tego, że krytycy będą i o Panu pisać i nawet pochlebnie. Nie ma Pan przecie do dyspozycji Brześcia; dysponuje Pan tylko talentem i wiedzą. — Red.

OFENSYWA

CADAVRES! CADAVRES!

JUŻ im tam żadne kadzidło nie pomoże, tym dwom krakowczykom z ducha, temu Lelum i Polelum, wspólnym łańcuchem skutym, a tak się dogłębnie nienawidzącym, temu *par nobile fratrum* na warszawskiem *Teatrum*.

Dziesięć lat temu raźno i ochoczo szli na okupowanie stolicy wraz z całemi czeredami, całemi pociągami wymizerowanych, ale dobrze na walkę o byt i but „przysposobionych"... krajanów. W krótkich (jak się mówi *in Pokrakau*) „abcugach" zdobyli sobie fawory i złocisze Syreniego czy zasyrenego metropolis. Jednemu udało się opanować gotycki bastjon (*Kernwerk*) Gebethnerów, drugi zajął wielkie przedmieście Grydzewa wraz z przyległościami. Obaj zaczęli konkietę od świnoderji i rzucania pereł przed wieprze, maciory i warchlaki. Obaj, choc antyalkoholicy i trzeźwi w dzień i w nocy, za Nalewkami w piekło iść byli gotowi. Obaj przymilne przyjemniaczki, w miarę centusie i padamdonóżki. Obaj rozpowiadający stolicy (*Capua der Geister*) cuda — cudeńka o Atenach nad Rudawą, o Michalikowej Jamie i o oleandrach. Obaj legitymujący się raz po raz, jakoże sroce z pod ogona nie wypadli. Obaj rachmistrze, kalkulatory i kombinatory, jakże odmienni od warszawskiego typu niezaradnych literatów, co to dwóch zliczyć nie potrafią, ni na budżecie ni na bilansie się nie znają. Oba pracowite, skrzętne, zabiegliwe, robocze, systematyczne, na książeczkę do P. K. O. składające, od nagłej śmierci zaasekurowane, z romantyzmu chemicznie wyprane, na reumatyzm profilaktycznie się leczące, w sobotę lewatywę biorące, nowoczesne, europejskie, ułatwionego żywota modele.

Najpierw szli zgodnie, równo, z „bukietem w ręku". Ale kiedy autor „Łuku" wykombinował, że autorowi „Kurkiewów" i „Słówek" w eugenitaljach, fekaljach i obscenach nie zdzierży, że go w zdobywaniu „koleżanek Goldberżanek" Szabesboy na obie łopatki położy, cofnął się wstecz i w bok i poszedł inną szosą do nieśmiertelności († 1932 †). Niech „Mędrca" czytają... żydówki, mnie muszą czytać... żydy! I zaczął pisać tak zwane „powieści" bohaterskie, czyli paszkwile na wrogów Komendanta. Kaden wdział kostjum Papkina. Jak to szło pod Konarami? Nie było takiej bitwy, w którejby ran na całem ciele nie odniósł. Przy każdej potyczce asystował i właśnie z poległymi się całował. I szczęśliwie nam ocalał, żeby to wszystko opisywać (Termopiły).

Dziesięć lat niecałych geszeft Kadenowski prosperował. Ale już w ósmym czy siódmym roku „młodzieńcy żydowscy" zaczęli wymykać się masowo na przedmieście Grydzewskie, gdzie w dużym Luna-parchu stał gabinet-namiot ginekologicznych osobliwości doktora Cyankaligari z „dziefczynkami" na głos śpiewającemi („miesiączek zaszła, psy się uśpiły i coś tam chlaszcze za dworem, pewnie mnie czeka mój Syfon miły ze swoim szmoncesów worem"). Skończyło się siedem lat tłustych, przychodzi siedem lat chudych. Każdy z nas ma takie dziesięciolecie swoich sukcesów, a potem żeby na głowie stawał i pasy z siebie darł, idzie na szmelc. Kaden wcześniej... Już jest gotów. Literacki nieboszczyk. Boy jeszcze będzie jakiś czas się bronił przed agonją. Może nawet pójdzie drogą... Huysmansa..., skoro przecież tyle, tyle lat połową dźwiękową tego nazwiska wojował i brylował. Bardzo możliwe. Kaden już gotów. Tylko go we frak z orderami ubrać i balsamem peruwiańskim omaścić. Ostatnia powieść leży. Siedmiu amatorów na jego podpisy przyszło, kiedy w sklepie Świadomości Literackiej przez trzy dni na entuzjastów wyczekiwał. Biedny szef „Roju", gdzie „Mateusz Bigda" wyszedł, włosy z głowy garściami wyrywa. Kaden „obiecował", że pójdzie paszkwil jak lód na wiosnę. Tymczasem sprzedali 600 a 1.200 egzemplarzy leży. Teraz obiecuje, że szkoły wykupią, i Strzelec, i minister każe okólnikiem „Zrębowi", „Straży Przedniej", i wszystko wykupią po ukazu, i drugie wydanie się zrobi, tylko cierpliwości, *mister Kister*! tylko cierpliwości! Dziadosz kupi, Sanojca, Galica, Kapellner kupi, Łokietek kupi, tylko cierpliwości, *mister Kister*! Rozejdzie się, rozejdzie, niech tylko kryzys minie, wszystko rozkupią oleandrusy, solenizanty, walety, rodzina Radziwiłłów, rodzina wioskowa, rodzina policyjna, rodzina Wiślickich! Tylko cierpliwości, *mister Kister*!

„Mateusz Bigda" leży. Obstalowany na chłopów, na chamów paszkwil biednemu Kadenowi się nie tylko nie udał, ale go dobił. Barokowe żygowiny stylistyczne krakowskiego mieszczuszka wszyscy obchodzą dookoła, bo siarkowodorowy fetor rozchodzi się od tej żałosnej twórczości. Może to być lektura jeszcze dla kelnerów i kapelnerów, ale żadna *vis maior*, już nie zmusi inteligencji polskiej, żeby brała do rąk hiperkakuanę. Wobec takiej tedy klapy kompromitującej biedny Papkind czyni jeszcze rozpaczliwe wysiłki. Telefonuje na wszystkie boki, pisze epistoły na wszystkie strony: pomoc dajcie mi wojacy! W „Porannik̀u" napisał ze sobą taki wywiad:

„Dwa lata przygotowań, bieganiny po sejmie, rozmów z działaczami politycznymi, włóczenia się po majątkach i wsiach, oborach, stajniach, szkółkach, zakładach wychowawczych, kooperatywach maślanych, rolniczych wogóle, dwa lata lektury o krowach, świniach, kurach, polowaniach, cłach, bilansach. Potem dopiero plany, plan a. b. c. d., warjanty, budowa, przebudowa, równocześnie usilna mobilizacja zapasu mowy: czytanie słowników, starych książek, Modrzewskiego, Reja, Potockiego, piękny przekład tacytowski Naruszewicza i t. d.".

Dwa lata po „oborach" deptał i chadzał... Modrzewskiego i Naruszewicza se czytał nieszczęsny Kaden, żeby obstalowany paszkwil wypitrasić! A teraz będzie znów dwa lata deptaniny, bieganiny po oborach i stajniach redakcyj sanacyjnych o recenzje, o krytyki, o wzmianki.

I pierwszy odezwie się pan Everth („Polska Zbrojna"):

„Zdziera maskę po masce. Zrywa osłonę po osłonie. Zdziera skórę. Szponami myśli, pazurami talentu odrywa płaty świeżego mięsa, by obnażyć najbardziej ukryte ścięgna, by wyrwać z rozpłatanych piersi prawdziwe tętno ukrytego serca. Była to epoka straszna. Epoka, w którejześrodkował się najstraszniejszy spadek atawizmu. Epoka, kiedy nietylko rozgorzały, ale dorwały się władzy i wpływów najbardziej przyziemne instynkty, kiedy Polska stała się zdobyczą szakali, których jedynem marzeniem było wyszarpywać świeże płaty ciała, by płatami temi sycić własne zagrody, sycić prywatny głód posiadania i użycia".

Po tych „świeżych płatach ciała" i „płatach świeżego mięsa" Evertha pośpieszył z recenzją „drugi Luter", p. Hulka Laskowski. Obuchany lekturą autodydakta bez poczucia hierarchji postawił wulgarnego prozatora obok... Galsworthyego (*sic*) i Huxleya (*sic*).

Obok Balzaca znowuż i Conrada postawił naszego Papkina, trzeci z kolei recenzent, niejaki pan Breiter, adwokat, normalnie broniący w sądach koniokradów i towarzyszki Trockistki, a tym razem anormalnie Juljusza...

Teraz zapewne zmobilizują jeszcze legjon młodych Lukreców, czy też funt Sterlingów; Pomirowski porówna Papkinda z An. Francem a aj-Wasowski z Tołstojem, Moniek w „Jutrze Pracy" z Turgeniewem a dr. Tatjana Rubelloch z Dickensem. A to wszystko pomoże tyle, co zmarlakowi kadzidło. Skończył się... *Obiit Julianus, natus est*... może... Choromański, może Dąbrowska, Wiktor Czuchnowski... niewiadomo. Kaden Kaput.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wesoło w chwili niszczenia nauki polskiej usposobiony profesor Wacław Makowski (poseł z klubu B. B.), pocieszа podobno swoich kolegów, że tekst ustawy, znoszącej autonomję szkół wyższych, nie przedstawia się już tak katastrofalnie, jak ten, który p. minister Jędrzejewicz wniósł do izb ustawodawczych jako przedłożenie rządowe. W komisji — twierdzi — projekt ten dokładnie przecież... przewałkowano...

*

P. minister pułk. Beck, w odpowiedzi na bardzo niepokojące pytanie, jaki będzie jego stosunek do Niemiec, odparł (w Komisji Sejmowej), że to będzie zależało od Berlina. — „Nasz stosunek do Niemiec będzie dokładnie taki sam, jak stosunek Niemiec do Polski".

Świat zapadł w głęboką zadumę, co te słowa znaczą. Bo nawet, kiedy się człowiek broni, to jego stosunek nie jest dokładnie taki sam, jak tego, co napastuje. A cóż dopiero, gdy się nie broni, gdy ustępuje, gdy się kłania.

Ale Bebeki zadowolone, że mają spokój: — Wszystko zależy od Berlina...

*

W tym akcie maski znaczyć mają
takich, co myśl swą ukrywają
i nigdy jej nie stawią jasno,
cudzą jest, czyli ich własną.
— — — — — — — — — —
Z Konrada zgadnąć chcący lic,
czy wie już, czyli nie wie nic...
(Wyspiański, „Wyzwolenie" II)

*

W dyskusji sejmowej nad projektem ustawy o nowym „funduszu", mianowicie „Funduszu pracy", jeden z posłów ludowych wyraził się „bujda na resorach". Jest to określenie powojenne, bardzo zabawne, ale może należałoby wrócić do tradycyjnego wyrażenia: „brać kogoś na fundusz".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Zielna 47. Tel. 619-57 PRZESYŁKA POCZTOWA RYCZAŁTEM OPŁACONA.